Nr. 52. Warszawa, dnia 24 (12) Grudnia 1892 r. **Rok XII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejs Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Na rok 1893.

Dotychczasowym przyjaciołom Prawdy, którzy nimi nadal pozostać zechcą, polecamy ją również w roku następnym. Nie potrzebujemy ukrywać, że zwiększony zastęp abonentów pozwoliłby nam podnieść pismo nasze wyżej. Od nowego roku pójdzie ona w treści dwunastoletnią swoją drogą, tylko w szacie zewnętrznej przybierze nieco wytworniejszą postać. Dawni nasi prenumeratorzy wiedzą, że reklama nie jest naszym środkiem, a spekulacya celem, że tego rodzaju sposoby zdobywania życzliwości uważamy za niegodne ich i nas. Utrzymywaliśmy dotąd i zachowamy stale stosunek z naszem czytelniczem kołem poważny, taki, który by odpowiadał godności, moralnemu i umysłowemu stanowisku stron obu.

Pragnących pozostać z nami lub przyłączyć się do nas w roku przyszłym prosimy o wczesne nadsyłanie przedpłaty, która nam pozwoli w porę zadość uczynić ich żądaniom.

Uwaga. Zastrzegamy, że administracya nasza ponosi straty, otrzymując prenumeratę markami w listach naklejanemi oraz że biletów bankowych dawnego stempla, przeznaczonych do wycofania, przyjmować nie może.

POLITYKA.

NIEOCENIONY.

Bismarkowi należy się od dziennikarzy całego świata pomnik — za życia lub po śmierci. Stanowczo od czasu istnienia prasy nie było człowieka, któryby jej dostarczył tyle materyału, tyle elektryzujących wiadomości, tyle tematów do artykułów. Przenieśmy się myślą wstecz o lat kilka: jaki to panował gwar w gazetach, jak dla nich pracował telegraf, stenografia, reporterya, a najbardziej „sensacyjne" doniesienia owijały się około Bismarka. Tymczasem dziś! Ileż razy korespondenci berlińscy daremnie gryzą pióra, ażeby z nich wyssać jakąś nowinę, lub stoją przy „osobnych drutach" wielkich *Blattów*, nie wiedząc, czem je zająć! Ile razy fabrykanci „artykułów wstępnych," przejrzawszy kronikę dni ostatnich, nie mogą z niej wydobyć ani jednego ważniejszego faktu. Pustynia — a na niej piasek, którego ziarnka, nawet najbardziej powiększone, pozostają drobiazgami. Królestwo za wielki wypadek! — krzyczą zrozpaczeni i znajdują tylko małe. A tu trzeba codzień, czasami dwa razy dziennie przyczepić coś do dużego dzwonu, uderzyć głośno jego sercem, napisać artykuł brzmiący mocno i szeroko. Dawniej tego nigdy nie bywało. Jeżeli nawet czasem nastała chwila ciszy, jeżeli lew przestał ryczeć i rzucać się na swe ofiary, to jeszcze mruczał, czyhał, gotował się do skoku lub trawił zdobycze, w każdym razie dawał sposobność do mówienia o sobie. A dziś? Czy może go zastąpić milczący, marudny i zamknięty w flegmatycznym spokoju Caprivi? Na szczęście, chociaż ten lew stracił siłę i odpoczywa w swej grocie, odwiedzają go rozmaici goście, przed którymi wynurza się on ze swych żalów, spostrzeżeń, otwierając na oścież drzwi, ażeby cały świat go słyszał. Znowu więc ratuje wdzięczną i niewdzięczną prasę ten sam jej żywiciel — Bismark.

Świeżo przyjął u siebie redaktora gazety *Matin*, p. des Houx. Jeszcze przed trzema laty żaden dziennikarz francuski niepojechałby do Friedrichsruh i żadnemu z tych „barbarzyńców" nie pozwolonoby tam przestąpić progu. Teraz inaczej. P. Houx pojechał, a Bismark zaprosił *son ami* i nasypał mu pełną torbę sarkazmów, sofizmatów i tych plew kłamiącej szczerości, któremi zwykł był zawsze zwabiać w sidła naiwne

trznadle. Naturalnie jeszcze raz zajął się krytyką stosunków międzynarodowych, głównie zaś Niemcami, Włochami, Francyą i Rosyą. Wiadomo, jak on umie z koźła robić barana, tym samym wypadkom nadawać coraz inne znaczenie, tym samym czynom własnym — coraz inne cele. Dla swych gości pragnie on w „pustelni“ być bardzo uprzejmym, a ponieważ miał u siebie francuza, więc szczególną grzeczność okazywał Francyi. Pana Houx, który zapewne wytrzeszczył oczy, zapewnił najuroczyściej, że obojętna mu była zupełnie kandydatura Hohenzollerna do tronu hiszpańskiego, że nietylko nie wywoływał zatargu z Francyą, ale nawet wcale się go nie spodziewał — „chociaż był do wojny przygotowany“ — że dopiero stenograficzne sprawozdanie z obrad Izby francuskiej przekonało go o konieczności starcia orężnego itd. Stałym swoim zwyczajem, wydrwił Bismark dawnych swoich sprzymierzeńców i przyjaciół. Tak np. ministrów włoskich oskarża o ukrycie (!) przed nim faktu, że Włochy nie są w stanie długo dźwigać ciężarów militaryzmu; wplątały się one — według niego — do sojuszu troistego całkiem niepotrzebnie i teraz grają rolę piątego koła u wozu. W trwałość związku francusko-ruskiego Bismark nie wierzy, Niemcy bowiem rozerwałyby go łatwo, ofiarowawszy Rosyi za neutralność swobodę działania na południowschodzie.

Nie przytaczamy dalszych twierdzeń i wywodów „żelaznego księcia,“ gdyż jakkolwiek był on politykiem bardzo bystrym i przewidującym, dziś naprzód nie ma wpływu na stosunki międzynarodowe, powtóre logika jego nosi na sobie aż nadto widoczne cechy starości i... przekorności. Wszystko, co świat uważa za białe, w jego przedstawieniu musi wyglądać czarno — i naodwrót.

W ciągłem zajmowaniu się swoją działalnością a zwłaszcza w ustawicznych powrotach do wypadków, poprzedzających wojnę francusko-pruską, mógłby ktoś spostrzedz dowód, że Bismark usiłuje zatrzeć ślady swoich matactw i podstępów, przykryć prawdę korcem, oddziałać na sądy potomnych, słowem, podrobić historyę epoki, której był głównym bohaterem. Niewątpliwie ma on tę myśl, ale ją spełnia bardzo niezręcznie. Czy to skutkiem osłabienia umysłowego, czy też namiętności przeczenia, wystawia on siebie w coraz innem świetle, tak, że gdyby zestawić własne jego zapewnienia, utworzyłyby one łańcuch ogniw wzajemnie się wyłączających. Raz jest przebiegłym lisem, który łatwowierne koguty wprowadza w pułapkę, to znowu znienacka zaskoczonym przez nie; on wypadkami kieruje i wypadki nim kierują; to napada, to broni się, a każdemu ze swych gości odkrywa „prawdę.“ Tych prawd ma on tyle, ilu przyjął dziennikarzów, którzy rozmowy z nim ogłaszają jako jedynie „wiarogodne“ wyznania.

W tych krętactwach, kłamstwach, udanej szczerości i sprzecznościach przyszły historyk dojrzy dla siebie ostrzeżenie, ażeby im nie ufać i z innych źródeł czerpać objaśnienia. Ale dziennikarz nie potrzebuje ważyć zapewnień Bismarka tak ściśle i bierze wszystkie z wdzięcznością i wiarą, gdyż one mu dają — materyał. Jako fabrykant i dostawca tego materyału, jest żelazny książę dla prasy politycznej nieoceniony.

Z AUSTRYI.

Niezawisłość liberałów niemieckich. — Prowizoryum budżetowe. — Dymisya hr. Kuenburga. — Ferye świąteczne. — Projekt feodałów czeskich. — Wskrzeszenie staro-czechów. — Hr. Taaffe wobec zagadkowego położenia.

„Wolny, wolniejszy, najwolniejszy....“ Wszystkie stronnictwa parlamentu ćwiczą się od dłuższego czasu w stopniowaniu tego przymiotnika. Niemcy byli wolni, dopóki znajdowali się w opozycyi. Przed rokiem, gdy już nastąpiło zbliżenie się ich do hr. Taaffego, oświadczyli przez usta Plenera w ciągu dyskusyi budżetowej, że zastrzegają sobie zupełną niezawisłość wobec rządu. Mieli oni już wówczas przedstawiciela swego, hr. Kuenburga, w gabinecie. Dziś, gdy ten przedstawiciel ustąpił, usłyszeliśmy znowu z tych samych ust i przy tej samej sposobności zapewnienie, że stronnictwo niemieckie nigdy jeszcze nie było tak niezależnem, jak w położeniu obecnem, stworzonem przez dymisyę hr. Kuenburga.

Hr. Taaffe, jak wiadomo, stopniuje przymiotnik ów oddawna na swój sposób. Był on w gruncie rzeczy „wolnym“ już za czasów dawnej większości, następnie zaprowadził sobie sławną politykę „wolnej ręki,“ obecnie zaś dosięgnął już chyba ideału wolności, dostępnej dla prezesa gabinetu, gdyż rządzi chwilowo bez większości.

W podobnem położeniu znajdują się też i inne stronnictwa, wyjąwszy polaków, związanych ściślej z rządem. Nawet drobna garstka antisemitów, która dotychczas krępowała się pewnymi względami wobec pokrewnych sobie narodowców niemieckich, wyswobodziła się z tej solidarności i może każdej chwili wedle chęci wstąpić do służby rządowej lub też przejść do opozycyi.

Niezależność tedy ogólna — oto cecha sytuacyi. Niezależność, czyli mówiąc inaczej, bezradność ogólna. Wprawdzie każda ze stron znajduje się w tem szczęśliwem położeniu, że może począć, co się jej tylko podoba, lecz żadna nie wie, co pocznie z sobą istotnie. Możnaby poradzić sobie może, trzymając się jakichś programów, lecz cóż, kiedy żadna prawie z grup nie posiada programu.

Najgorszem jest pod tym względem położenie liberałów niemieckich. Uwalniali się oni tak długo, aż uwolnili się nawet od własnych zasad, na których dziś oprzeć by się mogli. Czują, że ośmieszyliby się tylko, wracając po dwóch latach polityki oportunistycznej do opozycyi w imię zasad liberalnych. To też mimo wielkich min i szumnych frazesów, postępowanie ich zdradza wymownie, jakiego strachu nabawił ich ostatni manewr hr. Taaffego. Odmówili mu funduszu dyspozycyjnego, lecz głosowali za prowizoryum budżetowem. Nie przyznali wprawdzie rządowi budżetu trzymiesięcznego; lecz przyznali mu — dwumiesięczny. Grożą przejściem do opozycyi, lecz równocześnie ofiarują otwarcie hr. Taaffemu to, czego on przed rokiem jeszcze nie mógł uzyskać od nich, mianowicie udział w stałej większości, do której należałby klub hr. Hohenwarta i która miałaby program konserwatywny. W prasie ich wśród patetycznych deklamacyj o nieskalanym honorze stronnictwa, o poczuciu własnej godności itd., odzywają się wyraźnie błagalne jęki, wystosowane do „uwodziciela“ Taaffego: „Skompromitowałeś pannę, człowieku bez serca; miejże teraz sumienie i żeń się z nią!“

---

5)

BANKRUTKA.

Obrazek.

List Władka zelektryzował ją. Tam daleko biło serce w tej chwili może wyrzutem dla niej! Władek mógł złorzeczyć jej, że dała im życie, źle mu było, źle było im wszystkim!

Zegar u sąsiadów dzwonił dopiero dziesiątą: noc zbliżała się głucha; ranek miał nadejść nie prędko!

W ubraniu Helena padła na łóżko, aby przeczekać kilka długich, żmudnych godzin.

Nazajutrz miała, jak codzień dotąd, od samego rana wybiedz na miasto za poszukiwaniem pracy.

Leżąc na wznak z otwartemi oczami, myślała:

— Kiedy skończą się cierpienia moje? Kiedy dla mnie i dla dzieci moich nadejdzie wreszcie doba spokoju?

Około północy zasnęła. Po kilkogodzinnym męczącym śnie obudził ją perłowe świtanie. Brzask jutrzenki zaglądał w progi ciemnej izdebki, jak blade widmo, które woła:

— Wstańcie do szarej, nędznej walki o chleb, jaka was czeka!

Helena podniosła się na łóżku i spojrzawszy dokoła siebie, wstała powoli.

Toska spała jeszcze, gdy ona, ubrawszy się, wyszła szybko z domu.

Czuła tego dnia dziwne rozgorączkowanie i dziwny niepokój.

— Coś niezwykłego spotkać mię musi — myślała.

Szła wprost przed siebie, jak lunatyczka, z otwartemi szeroko oczami, nie wiedząc dokładnie, dokąd idzie.

Miała szukać pracy: to jedno pojęcie tkwiło w jej mózgu wyraźnie.

Na skręcie ulicy, którą minęła, przystanęła na chwilę. Wzrok jej uderzył szereg różnokolorowych afiszów, rozlepionych na ścianie żółtego murowanego domu. Nie czytywała ich dotąd nigdy: dziś — nie umiała zdać sobie sprawy, dlaczego zatrzymała się przed niemi.

Afisze opiewały tytuły sztuk, granych po teatrach w dniu ubiegłym.

Co ją obchodził teatr? Co mogły obchodzić ją tytuły sztuk, których z pewnością nie pozna nigdy?

Pełna niechęci, odwróciła się od szafki z afiszami, aby iść dalej, gdy wtem spojrzenie jej padło na szeroki arkusz białego papieru, zadrukowany dużemi, czarnemi literami.

Czytała wyraźnie:

„Henryk Rudziński, kawaler, obywatel lat sześćdziesiąt liczący, zmarł dnia 19-go grudnia w Warszawie.“

Wzrok jej nie mylił: w ramach klepsydry widziała dokładnie szereg znaczków, zestawionych w znane sobie dobrze i oddawna nazwisko.

Rudziński był stryjecznym bratem jej ojca. Stary kawaler, dziwak, nie żył nigdy z rodziną. Skąpy, nie lubił nikomu przychodzić z pomocą.

— Po mojej śmierci rozdrapiecie wszystko, co mam — mawiał do tych, którzy zwracali się ku niemu z prośbą o chwilowe wsparcie. Teraz dajcie mi żyć w spokoju i nie dręczcie mnie.

Ojciec Heleny odzywał się o nim niejednokrotnie.

— Siedzi przynajmniej na stu tysiącach rubli, a z każdym rokiem przybywają do kasy tęczowe papierki. Źle nie będzie tym, co spadku po nim dożyją.

— Rudziński umarł niedawno, dwa dni temu — powtarzała Helena bezmyślnie, czytając po raz setny klepsydrę.

Rola, którą odgrywa przywódca stronnictwa w takiej chwili, jest najniewdzięczniejszą w świecie. Jakże musi zazdrościć Plener hr. Kuenburgowi, który składając przy wybuchu przesilenia tekę ministra (niewłaściwe to trochę wyrażenie o ministrze, który nie miał teki) zdobył sobie tanim kosztem sławę męczennika! W istocie jest to jedyny człowiek, który skorzystał coś na wewnętrznej polityce austryackiej lat ostatnich. Był przed rokiem radcą sądowym na prowincyi, dziś jest prezesem senatu przy najwyższym trybunale. Był osobą nieznaną nikomu, dziś nawet prasa przeciwniczego obozu młodo-czeskiego nie szczędzi mu pochwał głośnych, dowodząc, że był on jako minister — zerem zupełnem, o czem zresztą nie wątpił nigdy hr. Taaffe, gdyż inaczej nie byłby go powołał do gabinetu.

Wśród zamieszania ogólnego członkowie parlamentu rozjechali się na ferye świąteczne. Zejdą się oni znów w pierwszej połowie stycznia i spodziewają się, że prezes gabinetu przygotuje im aż do tego czasu nową sytuacyę, mniej zagadkową, niż obecna.

Czy hr. Taaffe nie zawiedzie tych oczekiwań? Różne drogi otwierają się przed nim po zajściach ostatnich. Może on skleić większość stałą, podobną do tej, która istniała dotychczas, tj. złożoną z niemców, polaków i klubu hohenwartowskiego. Może jednak też spróbować, czy nie uda mu się wskrzesić większości dawnej, obejmującej czechów, polaków i hohenwartowców.

Lecz czy młodoczesi zechcą wejść w skład tej większości? Jest to kwestya, która zaciekawiała najbardziej koła polityczne od pierwszej chwili przesilenia. Dalsze wypadki odpowiedziały na nią przecząco. Okazało się, że w łonie stronnictwa młodoczeskiego istnieją wprawdzie dążności tego rodzaju, że szczególnie t. zw. grupa realistów gotowa byłaby skorzystać ze sposobności i opuścić niewygodne stanowisko opozycyjne, że jednak większość klubu młodoczeskiego nie zgodziłaby się na krok taki.

Wobec tego odezwały się ze strony feodałów czeskich głosy, doradzające hr. Taaffemu środek heroiczny. Wedle rady tej powinienby on rozwiązać parlament i rozpisać nowe wybory. Magnaci czescy zapewniają, że jeśli wybory te dokonane zostaną pod wrażeniem zajść ostatnich, jeśli rząd nadto pozyska dla siebie opinię publiczną w Czechach kilku ustępstwami, jak np. rychłem zamianowaniem ministra, w takim razie młodoczesi zostaną pobici, a zamiast nich wrócą do rady państwa — staroczesi, których łatwo będzie zaciągnąć w szeregi większości rządowej.

Doradcy ci nie potrafili widocznie przekonać prezesa gabinetu. Hr. Taaffe wie dobrze, że „na dwoje babka wróżyła“ i że młodoczesi wyszliby z wyborów prawdopodobnie nie osłabieni, lecz ze zwiększonemi siłami. Jako polityk ostrożny, przedewszystkiem ostrożny, nie chce się więc narażać na to niebezpieczeństwo i nie myśli o rozpuszczeniu rady państwa.

Jakże więc zamierza on rozwiązać zagadkę, którą przedstawia położenie parlamentarne? Najprawdopodobniejszem wydaje mi się, że nie chce rozwiązać jej wcale. Jeśli liberałowie niemieccy zmiękną jeszcze trochę bardziej pod wpływem — własnych swych gróźb, jeśli dowiodą jeszcze bardziej, że myśl o powrocie do opozycyi dla nikogo nie jest przykrzejszą, niż dla nich samych, wówczas trudności położenia znikną same, a hr. Taaffe będzie w istocie człowiekiem „najwolniejszym“ w parlamencie austryackim.

S—l.

WYBORY W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

W listopadzie r. b. odbyła się w Stanach Zjednoczonych istotna rewolucya, zupełnie pokojowo. Długo powstrzymywany potok stronnictwa demokratycznego wybuchnął z taką siłą, iż w jednej chwili zmiótł republikanów od stera nawy państwowej, który dzierżyli blizko lat 30 i wyparł ich ze wszystkich stanowisk u władzy wykonawczej i prawodawczej. Cleveland zwyciężył wbrew wszelkim przewidywaniom, ale była to więcej niż niespodzianka, był to prawie kataklizm, który zadziwił również zwycięzców, jak i zwyciężonych. Ani jedni, ani drudzy nie liczyli na taki wybuch, gdyż siły walczących były prawie równe. Okazało się jednak, iż ostatnie wybory stanowiły teatr nie tyle dla walki dwu stronnictw, ile dla głuchego zatargu dwu systemów rządowych i dwu zasad ekonomicznych.

Zwycięztwo Clevelanda jest przedewszystkiem odparciem polityki protekcyjnej, która wraz z bilem Mac Kinleya doszła do swego szczytu w r. 1890 przy rządach republikańskich. Przyznają to nawet urzędowi przedstawiciele protekcyonizmu. Jeden z nich, sekretarz stanu, Forster, rzekł z trybuny Izby po ukończeniu wyborów: „Kraj stanowczo potępił taryfę Mac Kinleya. Powinniśmy przyjąć jego wyrok, jako wskazówkę, iż inna polityka musi być obrana.“

Zmiana ta będzie miała olbrzymie skutki nietylko dla Ameryki, ale i dla rynku wszechświatowego wogóle. Fr. Engels przedstawia je w berlińskim *Vorwärts'ie*. Oto główna nić jego rozumowań: System celny, wprowadzony w Stanach Zjednoczonych po wojnie domowej, miał na widoku rozkwit przemysłu amerykańskiego i uwolnienie z pod jarzma monopolu, który Anglia rozpościerała wówczas nad światem całym. Pod ochroną ceł i dzięki niesłychanym bogactwom przyrodzonym, a także energii ludności rezultat ten już przed pięciu laty zupełnie został osiągnięty i od tego czasu Stany Zjednoczone mogły się śmiało mierzyć z Anglią. Jeżeli jednak pomimo to cła wciąż wzrastały, to służyły one tylko do zrujnowania drobnych wytwórców pod naciskiem wielkich, połączonych w trusty i kartele, dla których cały rynek wewnętrzny stał się przedmiotem nieograniczonego wyzysku. Dla samego wszakże wytwarzania cła ochronne, zwłaszcza w rozmiarach ustanowionych przez bil Mac Kinleya, stały się więzami nieznośnymi, które wpłynęły na niesłychane podrożenie wszystkich towarów, zamknęły rynek wszechświatowy przed amerykańskim przemysłem, podczas gdy domowy cierpiał od przepełnienia. To ostatnie zaś nie pozwalało wzrosnąć pracy robotniczej, jak to obiecywali przedstawiciele protekcyonizmu, występując głównie w postaci obrońców ludu pracującego. Od tego wewnętrznego przesilenia, które trwa już lat kilka, Stany Zjednoczone mogą się uwolnić tylko otwierając sobie rynek wszechświatowy i odrzucając cła ochronne. Że postanowiły tak właśnie uczynić, dowodzą wybory prezydenta i zupełna zmiana opinii publicznej w sprawie protekcyonizmu. Raz stanąwszy na rynku wszechświatowym, Ameryka będzie niepowstrzymanie pędzona po drodze wolnego handlu. I wówczas będziemy świadkami bezprzykładnej walki przemysłowej. Na wszystkich rynkach angielskie wytwory — zwłaszcza tkackie i żelazne — będą musiały walczyć z amerykańskimi i ostatecznie im ulegną. Już obecnie angielskie tkaniny wełniane i bawełniane krok za krokiem ustępują przed swemi rywalkami. „Czy chcecie wiedzieć — zapytuje Engels — czemu robotnicy z Lancashiru w ciągu jednego roku stali się gorącymi zwolennikami ośmiogodzinnego dnia pracy z zapalonych przeciwników, jakimi byli dawniej?“ Otóż dlatego, iż zaczynając od r. 1881, wywóz tkanin

---

Nagle oczy jej zabłysły, wargi drgnęły konwulsyjnie, krew zalała bladą twarz i okrągłe policzki.

Zwróciwszy się szybko w stronę ulicy, na której o parę kroków od niej stała grupa posłańców, skinęła na jednego z nich.

— Czy mieszka tu w tych stronach znany jaki i dobry adwokat? — spytała, skoro nizki, umundurowany mężczyzna podszedł ku niej.

— W tej samej bramie zaraz na prawo znajdzie pani jednego — odparł posłaniec— dalej, na lewo, drugiego, a później już w każdym domu po dwóch, po trzech: wszyscy dobrzy i znani...

Nie namyślając się długo, Helena skręciła do sieni wchodowej najbliższego domu i, przeczytawszy na drzwiach pierwszego mieszkania od frontu głośne w mieście nazwisko adwokata, zadzwoniła mocno.

Służący wprowadził ją do gabinetu i, oznajmiwszy, iż pan wyjdzie nie prędzej, niż za godzinę, zostawił ją samą.

Oddychając krótko i szybko, pełna niepokoju usiadła na nizkim tureckim fotelu i postanowiła czekać.

Myśli jej wirowały chaotycznie, bez związku. Nie umiała zdać sobie sprawy, jak się to stało, że ona tu przyszła; nie wiedziała, co powie adwokatowi, gdy ten stanie przed nią: działała, jak sonambuliczka; coś popychało ją do takiego, a nie innego czynu, coś w niej za nią mówiło...

Zegar w dębowem rzeźbionem pudle wydzwonił dziewiątą, gdy pan adwokat, zaspany jeszcze, ukazał się z daleka, wołając na służącego, aby mu przyniósł kawę do gabinetu.

— Czem pani mogę służyć? — zapytał, siadając w fotelu przed biurkiem i spoglądając z ukosa na szczupłą, licho odzianą postać Heleny.

— Przed chwilą właśnie dowiedziałam się o śmierci mego krewnego — odpowiedziała Helena szybko dławionym przez łzy głosem. — Został po nim majątek w kapitałach i ziemi, do którego — sądzę — mogę sobie rościć pewne prawa. Jestem w położeniu, które najmniej nawet znaczącym spadkiem gardzić mi nie pozwala, zwracam się zatem do pana adwokata z prośbą o rozważenie sprawy mojej i wskazanie mi kroków, jakie mam robić w celu odzyskania należnej mi schedy.

Zasiadłszy się głębiej w fotelu, patrząc na Helenę badawczo, jak gdyby z twarzy jej chciał wyczytać treść tego, co powie, adwokat pytał w dalszym ciągu:

— Jaki stopień pokrewieństwa łączył panią ze zmarłym?

— Rudziński był stryjecznym bratem mego ojca; rodzeństwa bliższego nie miał — brzmiała odpowiedź Heleny. Kawaler, umarł prawdopodobnie, nie sporządziwszy uprzednio testamentu, gdyż zasadą jego życia było nie obdarzać niczem nikogo. Cieszył się na myśl, iż po śmierci jego krewni może będą wydzierali sobie majątek, który zostawi i rozszarpią go w kawałki, bez korzyści dla siebie.

— Więc zmarły jest krewnym pani w czwartym stopniu — ciągnął adwokat — czy ojciec pani był jedynym jego bratem stryjecznym, czy też pozostali jeszcze inni krewni tegoż stopnia?

— Pozostała tylko ciotka i kuzynka moja, Marya i Zofia Gawrońskie, właścicielki wielkiego majątku, graniczącego z posiadłościami zmarłego. Ciotka moja była tak samo stryjeczną siostrą nieboszczyka.

— Pani Marya Gawrońska żyje jeszcze?

— Tak jest, żyje.

— Ojciec pani również jest przy życiu?

— Ojciec mój zmarł rok temu.

Twarz adwokata zasępiła się. Przygryzł wargi, nachmurzył czoło, zwiesił rękę z cygarem, które zaczął palić, na poręcz fotelu i, pomyślawszy chwilę, odrzekł zwolna:

— W takim razie nie mogę poradzić pani nic innego nad dokładne zbadanie, czy

angielskich nie dorównywa amerykańskiemu, a zaczynając od r. 1891, stanowi już tylko $1/3$ jego! A Chiny i Indye stanowią główny rynek tego wywozu. Przeniesienie zaś środek ciężkości przemysłu tkackiego i żelaznego z Anglii do Ameryki i Anglia się stanie albo drugą Holandyą, krajem, którego burżuazya żyje przebrzmiałą wielkością, a proletaryat zasycha, albo też będzie ona musiała stanowczo przejść na drogę gruntownych reform społecznych, jak to widzimy z przykładu tkaczów Lancashiru. Pierwsze wyjście jest niemożliwe: proletaryat angielski jest zbyt potężny i bogaty, żeby na nie pozwolił. Pozostaje więc drugie. Upadek ceł ochronnych w Ameryce oznacza zwycięztwo reform społecznych w Anglii. „A Niemcy? — kończy autor. Czy i one, otworzywszy sobie od r. 1878 drogę do rynku wszechświatowego, nadal ją zagradzać będą przez politykę celną? Czy one pójdą w ślady Stanów Zjednoczonych, albo też głupio czekać będą, aż potężna industrya amerykańska gwałtownie rozwali kartel celny junkrów i burżuazyi?“ Engels sądzi, iż mieszczaństwo niemieckie jest zbyt głupie, żeby świadomie wstąpić na tory wolnego handlu, na które prędzej czy później pod wpływem konieczności zmuszone będzie się zwrócić. Toż samo powiedzieć można i o Francyi. I dla niej klasyczne doświadczenie, zrobione przez Stany Zjednoczone, nie posłuży za lekcyę zbawienną, aż dopóki współzawodnictwo na rynku wszechświatowym gwałtownie nie obali jej baryer celnych.

Oprócz taryfy, jeszcze polityka wewnętrzna miała potężny wpływ na wybory 8 listopada, a mianowicie w kształcie wznowionego sporu między federalistami a centralistami. Walka ta toczy się po dawnemu koło dwu kwestyj: pozbawienia stanów oddzielnych tych resztek zwierzchnictwa, które jeszcze zachowały i ostatecznego zrównania ras, białej i czarnej, jak tego żądają republikanie, wbrew potężnemu oporowi demokratów. Trzydzieści lat wszechmocy rządowej, ledwie przerwanej przez krótki okres 1885—1890, kazało sądzić republikanom, iż stare tradycye nienawiści rasowej zgasły i że łatwo im będzie zadać nowy cios niezależności stanowej. Omylili się mocno. Wprawdzie demokraci wyrzekli się już wielu praw, zapewnionych im przez pakt z r. 1783: wielokrotnie chwytali za oręż w ich obronie, bez skutku. Ale to pogodzenie się z faktami dokonanymi nie było wcale zupełną abdykacyą. Przeciwnicy podnieśli znowu głowę, zdecydowani bronić do upadłego pozostałości dawnych przywilejów, na które obecnie gotowano nowy zamach. A mianowicie republikanie przedstawili w r. 1890 kongresowi projekt prawa, który pod pozorem uporządkowania i ochrony wyborów chciał je oddać pod kontrolę superrewizorów, przysyłanych z Waszyngtonu. Wszystkie czynności, poczynając od układania list wyborczych aż do obliczania biuletynów i określania wyników, znalazłyby się w ręku inspektorów federalnych z władzą nieograniczoną. Projekt ten przyjęty został w Izbie, lecz odrzucony w Senacie, tylko dzięki przypadkowemu przemieszczeniu jednego głosu. Przejście jego byłoby olbrzymiem ubezwładnieniem stanów wobec władzy centralnej. Stany południowe zaniepokoiły się i powołały do związku demokratów północnych, zawsze gotowych do oporu względem wszelkiego zamachu na niezależność stanową. Sojusz nastąpił. Projekt, ochrzczony *Force bill* (bil gwałtu) ogłoszono za próbę tyraniczną, któraby się niechybnie powtórzyła, gdyby Harrison został u władzy. Oto co komitet centralny demokratów pisał w tej kwestyi: „Nigdy powrót do zasad wolnego rządu, opartego na prawach miejscowych i na wolności osobistej, nie był ważniejszy, niż dziś, gdy dążność do scentralizowania wszystkich władz w stolicy federalnej stała się groźbą dla praw zawarowanych stanom... Ostrzegamy lud naszej wspólnej ojczyzny, zazdrosny o zachowanie swych wolnych urządzeń, iż polityka kontroli federalnej nad wyborami, do której dąży stronnictwo republikańskie, będzie w skutkach swych tyleż groźna, co przewrót, któryby miał na celu ustanowienie monarchii u nas.“ Hasłem demokratów stało się więc „No force bill!“, do którego dodano wkrótce „No negro domination!“ (precz z panowaniem negrów!), kwestya bowiem ras i kolorów znowu się wynurzyła i ściśle splotła z kwestyą niezależności stanów. Nie rozstrzygnęło jej obalenie niewolnictwa, ani też równość cywilna i polityczna, uchwalona przez kongres. Zmieszanie się ras nie nastąpiło i wstręty są jeszcze bardzo silne: w połowie stanów prawo odmawia *miscenegation*, tj. małżeństw mieszanych, towarzystwa kolejowe zaś muszą bardzo często naznaczać oddzielne pociągi dla czarnych. Najgorętsza nienawiść pozostała jeszcze w Stanach południowych i one to oskarżyły republikanów, że ich „force bill“ miał na widoku okazać nowe poparcie czarnym. Trzeba przyznać, iż tem dążeniem do równouprawnienia są republikanie nader sympatyczni, w swych zaś centralistycznych dążnościach są oni konsekwentnymi przedstawicielami rozwoju, kapitalistycznego. Ale błąd w polityce celnej zniweczył owoce ich liberalnych zapędów: demokraci, znalazłszy się u władzy, znowu zaognią odwieczną i wstrętną walkę rasową, dla której autonomia zaściankowa jest gruntem nader podatnym. Z 444 głosów, stanowiących kolegium wyborcze prezydenta, 282 zebrał Cleveland, 134 Harrison, a 26 kandydat nowego stronnictwa „People's party.“ Wybory do kongresu, które miały miejsce tegoż dnia, odbyły się w tymże kierunku. Większość demokratyczna w przyszłej Izbie przewyższać będzie republikanów o 80 głosów. Toż samo dzieje się i w Senacie. Stronnictwo zwycięzkie staje się więc panem na całej linii. Interesującym faktem wyborów było 26 głosów, otrzymanych przez „People's party.“ Początek jej założył związek, utworzony naprzód w kilku stanach zachodnich w 1889 r. p. n. „Farmers Alliance.“ Związek ten wzrósł obecnie do rozmiarów dość silnego stronnictwa, które stanęło między demokratami i republikanami. Żąda ono: monopolu państwowego na koleje, telegrafy i banki, niskiej taryfy, podatku z dochodu i reform społecznych. Nie jest to zresztą stronnictwo socyalistyczne. Ma ono przed sobą przyszłość: sądzić można z tego, iż w ciągu trzech lat istnienia zdobyło w kolegium wyborczem prezydenta 26 głosów. Domaga się także udziału kobiet w głosowaniu powszechnem. Samo zaś kobiety postawiły dwie kandydatki na prezydenturę stanów: pp. W. Woodhull i Cynthię Leonard.

Eipon

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sceny, jakie obecnie rozgrywają się w instytucyach politycznych Francyi, należą do najburzliwszych w historyi tego burzliwego narodu. Stał długo dom Rzeczpospolitej na bagnie i krył w sobie rozmaite gorszące tajemnice, świecąc na zewnątrz blaskiem, zdrowiem i wspaniałością. Wypadek wskazał to bagno i wydobył na jaw te tajemnice, których — oprócz wtajemniczonych — nikt się nie spodziewał. Zdumienie i przerażenie potęgują się wzajemnie. Ponieważ zaś zwykle krzyczy złapany złodziej, krzyczy łapiący go stróż bezpieczeństwa, krzyczą pokrzywdzeni przez kradzież, krzyczą jej świadkowie, więc gdy to wszystko odbywa się na wielką skalę, powstaje

---

zmarły rzeczywiście nie zostawił testamentu, w którym by wyłącznie coś dla niej zapisał. Prawo orzeka, iż bliższy stopień pokrewieństwa wyklucza od spadku dalszy. Ponieważ ciotka pani jest przy życiu, a ojciec pani zmarł już, zatem ona jedynie odziedziczy majątek. Dla pani stanowczo niema tu widoków, chyba że został testament: należy sprawdzić.

Z przedpokoju doleciał odgłos dzwonka, parokrotnie powtórzony. Do kancelaryi zaczęła napływać falanga gości — klientów.

Pan adwokat, ziewając, skłonił się Helenie i wskazał ręką leniwie drzwi, prowadzące do wyjścia, których ona znaleźć nie mogła.

Stanąwszy w sieni, na stopniach schodów, Helena zsuwała się z nich powoli: usta jej i piersi poruszał ciężki, jakby przyduszony oddech.

Powietrze zimowego ranka było szare, brudne, zamglone. Ruch na ulicach wydawał się jakiś martwy. Ludzie szli lub biegli, podobni do drewnianych automatów, które pcha sztuczna siła. Chłodna mgła osiadała na murach domów. Kapały się w niej czubki dachówek i banie gazowych latarni. Pełzała po śliskich płytach trotoaru aż pod same stopy przechodniów, liżąc je martwem swojem tchnieniem.

Helena szła szybko.

— Co zastanę w domu, gdy wrócę? — pytała sama siebie.

— Nędzę, płacz głodnej Tośki, kaszel Józka, narzekające listy Władka — odpowiadała sama sobie.

W miarę zbliżania się do ulicy, na której mieszkała, zwalniała kroki, coraz leniwiej postępując naprzód. Głowa jej zwisła na piersi; usta poruszały głębokie, ciche westchnienia.

Stanęła nareszcie w sieni drewnianego parterowego domu z facyatką na szczycie pod samym dachem. Wchodząc po kilku stromych, wązkich schodkach, usłyszała gwar dziecinnych głosów, dolatujący z pokoju na poddaszu.

Otworzyła drzwi szybko.

Do kolan jej rzucił się Władek, obszarpany, bosy, wynędzniały.

Pieszo przebiegł kilkadziesiąt mil drogi, aby połączyć się ze swoimi; nie mógł wytrzymać dłużej u obcych: źle mu było.

— Nie gniewaj się, mamo! — wołał, całując ręce i kolana Heleny — będę pracował, gdzie zechcesz i ile zechcesz, tylko nie oddalaj mnie od siebie.

Tośka płakała. Józik, który tego dnia nie mógł iść do sklepu, gdyż dostał silnej gorączki, kaszląc, pałającemi oczyma patrzył na siostrę i brata; łzy spływały również po spieczonych jego wargach i zapadłych policzkach.

Helena rzuciła się na tapczan obok Józka. Ból straszny, szarpiący, ostry, ból, jakiego dotąd jeszcze nie doznawała, ścisnął jej piersi, aby podnieść je po chwili silnem łkaniem.

Jak długo ona i dzieci płakały — nie wiedziała.

Słońce stanęło wysoko na południu, gdy do drzwi izdebki poddasza zastukała Marcinowa, której dobrotliwy, jakkolwiek rubaszny głos zdołał uspokoić ją cokolwiek.

Podniosła się i, drżąc całem ciałem, z oczami zamglonemi uklękła przy oknie, aby napisać list do znajomego adwokata z prośbą o doniesienie, czy Rudziński nie zostawił testamentu?

Tydzień minął, zanim nadeszła odpowiedź.

Po dopełnionej urzędownie rewizyi biurka oraz całego mieszkania zmarłego okazało się, iż tenże aktu ostatniej swej woli nie pozostawił, majątek cały zatem bezpodzielnie przeszedł w ręce Gawrońskich.

Cecylia Walewska.

KONIEC.

piekielna wrzawa. Najczęściej w takich wybuchach zgrozy oskarżenie i zarzuty padają daleko po za koło istotnych winowajców i dosięgają ludzi niewinnych. Tymczasem w skandalu panamskim każdy dzień rozszerza to koło, odsłania nowych przestępców i bynajmniej nie wskazuje, ażeby już dotarł do ostatniego. Gdybyśmy wyobrazili sobie widok sądu, w którym by nagle z badania wypadło, że zbrodniarzami są nietylko siedzący na ławie oskarżonych, ale także obrońcy, prokuratorówie i sędziowie, tworzący wraz z nimi jedną szajkę, byłoby to coś podobnego do odkryć w sprawie panamskiej. Początkowo przestępcami byli tylko: Reinach, Hertz, Cottu i kilku deputowanych i senatorów, których nazwisk nie wymieniano. Oskarżali ich lub sądzili ministrowie Rouvier i Roche, przywódcy stronnictw Clemenceau i Cassagnac, tymczasem okazało się, że i Rouvier, i Roche, i Clemenceau, i Cassagnac, i inni, którzy wybuchali oburzeniem, brali łapówki od towarzystwa panamskiego. Zdemaskowani tłomaczą się, że bądź czynili to „dla obrony Rzeczpospolitej“ (Rouvier), bądź pobierali tylko należności za ogłoszenia w swych dziennikach (Clemenceau i Cassagnac). Ostatnia stronica gazet przynosi we Francyi dobre dochody, ale np. 200,000 fr. od jednego klienta — to trochę za wiele. Pokalani oskarżeniami usiłują zmyć z siebie hańbę po francusku — pojedynkami, tem mydłem, którem prano już wiele brudnych honorów, a nie wyprano żadnego.

Rząd polecił uwięzić niektórych członków towarzystwa panamskiego i zażądał od Izby zniesienia nietykalności paru deputowanych, ażeby ich również mógł wsadzić do kozy. Krok ten wywarł dobre wrażenie, gdyż wzburzone „odkryciami“ społeczeństwo zobaczyło wreszcie, że władze, stojące na straży prawa, nie myślą poprzestać na samych odkryciach i dosięgną winowajców, gdziekolwiek oni stoją. Gdy wszakże w ostatnich dniach liczba ich pomnożyła się znacznie, zwłaszcza śród deputowanych, pozostaje już tylko albo z całej Izby zdjąć prawo nietykalności, albo ją rozwiązać i tym sposobem pozbawić jej członków przywileju, zabezpieczającego ich przed odpowiedzialnością sądową — i wybrać nową. Ten drugi środek wszakże jest dosyć ryzykowny, gdyż naród, rozdrażniony straszną ohydą, mógłby przechylić się na stronę przeciwników Rzeczpospolitej tem bardziej, że oni podobno przygotowali odpowiedni spisek.

Cóż Carnot? Milczy i usiłuje być neutralnym, uwydatniając dowodnie wartość figurantów na czele państwa i ich bezstronności. Gdy statek pędzi na skały, grozi rozbiciem, tonie, główny sternik siedzi na nim, jak chce konstytucya, z założonemi rękami i czeka, co postanowi rozhukane morze. Nawet wielbiciele jego „równowagi“ widzą i przyznają, że podczas burzy lepszy byłby człowiek z inicyatywą i energią.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

(Dokończenie).

Dla wywołania w sobie stanu entuzyazmu, kieruje się następującemi ogólnemi wskazówkami: codziennie posiadamy tylko określoną sumę siły nerwowej do wydatkowania. Trzeba się ostrożnie z nią obchodzić, żeby nie rozproszyć ani kropli. Trzeba przystosować swą działalność do naturalnych przypływów i odpływów energii. Trzeba zmienić warunki, w których pomieszczamy nasze zdolności, dzięki czemu i żądze i dusza cała ulegają zmianom. Jeżeli do tego dodamy odpowiednie warunki hygieniczne, to łatwo wywoływać można najrzadsze stany ducha. W ten sposób pozną wszystkie wrażenia, namiętności i ekstazy. „Zakony religijne wytworzyły odpowiednią hygienę, która dąży do doskonałej miłości Boga. Taką samą hygienę chcę ustanowić dla uwielbienia mego „ja,“ dla rozwoju i posiadania wszystkich mych władz. Żadna gorączka nie zostanie mi nieznana, ale żadnej nie zatrzymam.“ W spowiedzi swego ducha autor przyznaje, iż grzeszył *myślą* (są to, zdaniem jego, najcięższe grzechy), gdy zniżał się do przesądów lub zwracał uwagę na opinię tłumu; *słowem* (te grzechy są niebezpieczne, gdyż tą drogą można wpływać na własną myśl), wygłaszając przez chęć niewyróżniania się od innych mnóstwo frazesów banalnych, czem ograniczał i przytłumiał swą duszę, albo też w zupełności jej się wyrzekał w t. zw. towarzystwie; *czynem* (te grzechy nie mają żadnego znaczenia), gdy nie umiał obronić swego odosobnienia i poniżał się do obcowania z ludźmi. Ono go skalało i zbrukało. Teraz chce posiąść samego siebie, zmechanizować swą duszę, żeby ją całą posiadać w swem ręku i stać się w ten sposób człowiekiem wolnym. Do tej dyscypliny psychologicznej, której autor się poddawał, należy także badanie duszy tych ludzi, którzy posiadali jaknajróżnobarwniejsze „ja.“ Dlatego też Barrès czuje uwielbienie dla B. Constansa i Sainte-Beuve'a, których analizuje z wielką subtelnością. Ale są to tylko zwierciadła powiększające, jak powiada, dla pewnych szczegółów jego duszy. Im potrzebne były zewnętrzne pobudki, jak miłość lub żądza władzy i sławy, dla podtrzymania nieugaszonego ognia życia wewnętrznego. On bez tych pobudek obejść się może i tylko w samym sobie chciałby czerpać materyał dla swej wrażliwości. Przekonywa się jednak wkrótce, iż analiza własnego ducha jest bezładna, że jednostka, nawet najdoskonalsza jest tylko cząstką większego systemu, rasy i że zetknięcie się z jej duszą pozwoli mu lepiej poznać własną swą istotę, którą rozumie tylko w przeczuciu. W tym celu udaje się do swej ojczyzny naturalnej, Lotaryngii, i do swej ojczyzny duchowej, Wenecyi, która swą zazdrosną walką o niezależność budzi sympatye i przypomnienie jego własnej duszy. Rezultaty tego badania były wszakże dość skromne: z Lotaryngii znajdujemy kilka stronic psychologii społecznej, niezbyt głębokiej, a Wenecya posłużyła mu za temat do rozpraw o Giotto, Veronesie, Tycyanie, Botticellim, w których odnajduje tylko cząstki swej duszy, i o Tiepolu, w którym czuje istotę zupełnie sobie pokrewną, analityka i zarazem melancholika, który umie oblewać czynniki zebrane ze świata całego własnem, wewnętrznem światłem. Poznawszy w ten sposób samego siebie, autor czyni wycieczki w życie praktyczne, żeby zastosować zdobyte rezultaty. Wdaje się w miłość z dziewczyną, która ma mu dostarczyć wszystkich wrażeń i uczuć tej kategoryi wraz z zazdrością i żałością z jej upadku. Mógłby z nią mieć pewien okres spokojnego życia, zapomnienia i szczęścia — ale to jest zbyt pospolite, wyrzeka się go i puszcza ją z kim innym, sądząc, iż jest dość silnym, aby znieść rozstanie. Niespodzianie wszakże czuje z tego powodu wielkie męki w połączeniu z zazdrością, ale olbrzymim wysiłkiem woli pozbawia się ich, chcąc zostawić sobie tylko wspomnienie i być wolnym. Skończywszy to doświadczenie; autor zatrzymuje się nad marzeniem, które się składa z elegancyi moralnej i przenikliwości umysłowej. Nawet pospolitość nie jest w stanie go dotknąć, gdyż usiadłszy w swym pałacu duchowym, pokrywa skandaliczny szmer, który się wznosi od „barbarzyńców,“ muzyką wydzieloną przez jego duszę. Wyrzekł się samotności, gdyż jest pewna suma pożądań, które może zaspokoić tylko w życiu czynnem. Śród ludzi znalazł pokarm dla tej „niższej części“ swej istoty, ona pozostawiła w spokoju jego wyższe władze kontemplacyi i marzenia. „Dawniej — powiada — nie dowierzałem światu zewnętrznemu. Rzeczywiście, jest on wstrętny, ale prawie nieszkodliwy. Trzeba panować nad ludźmi, chwytając ich za próżność. Z pieniędzmi w kieszeni można znieść wszystkie zetknięcia.“ Takie było początkowo wyjście, które autor proponował dla pogodzenia natężonego życia wewnętrznego z potrzebą czynu. Wyjście wstrętne, kaleczące jednostkę i psychologicznie na wskroś fałszywe. Psychologia współczesna nie upatruje żadnej różnicy zasadniczej między inteligencyą i wolą. Myśl ma naturalną dążność do wyrażenia się w czynie. Rozerwać ten naturalny związek funkcyi duchowych znaczy kaleczyć jednostkę. Najszlachetniejsze i najwznioślejsze nasze marzenia nie powinny zostawać bezpłodne wewnątrz nas, lecz się urzeczywistniać, wcielać w życie przez działalność. Pozostawiać dla tej ostatniej jakąś „niższą część“ naszej istoty, jest najzwyklejszą brednią. Rzeczywistość obecna jest wstrętna, odpychająca i nizka tylko dlatego, iż panują w niej mieszczańskie geszefciarstwo i sobkostwo. Ale taż sama rzeczywistość może i powinna być polem dla walki za najwznioślejszy idealizm i najszczytniejsze marzenia. Nie kaleczmy tylko siebie, zamykając marzenia we wnętrzu, jak w klatce, dajmy im natomiast przestwór i dążmy do celu urzeczywistnienia chociażby drogą poświęceń i cierpień. Wówczas dopiero duch nasz się uspokoi i dojdzie do pełni swego rozwoju. Recepta Barrèsa tego rozwoju nam nie da, przeciwnie, jest źródłem nowej tortury wewnętrznej; nie jest ona wypływem wskazówek psychologii, ale raczej psychopatyi. Zadziwiająca rzecz, jak literatura współczesna mało pojmuje poezyę czynnego życia, smak czynu, rozumie się, o ile on dąży do wcielenia jakiejś wzniosłej idei, a nie zasklepia się w banalnej geszefciarskiej rzeczywistości. Ideału swobody, o którym marzy Barrès, dopiąć można nie zamknięciem się w swym zamku duchowym, lecz jaknajbogatszą kulturą wewnętrzną i wyłonieniem jej zarazem w rzeczywistości. Zresztą, sam autor zrozumiał braki swego systemu i w następnej książce *Le jardin de Berenice* stara się życie czynne inaczej jeszcze uzasadnić. A więc dowiadujemy się, iż jako psychologa interesuje go nie tylko świadoma, arcyświadoma, własna dusza, ale także nieświadoma, społeczna dusza mas, dążąca także do doskonałości instynktownie. Chce więc z masą tą się zmieszać, żeby ją lepiej zrozumieć. Następnie napomyka zlekka, iż cierpienia ludzi maluczkich i prostych nie pozostawiają go obojętnym: chciałby je ulżyć — jest to wzgląd nadzwyczaj szanowny. I nareszcie dla dopięcia ideału „wolnego człowieka“ — powiada autor — trzeba być materyalnie zabezpieczonym — ten wzgląd prawdopodobnie najsilniej wpłynął na Barrèsa, i ze wzniosłego pałacu ściągnął go na poziomy. Dla wszystkich tych powodów autor oddał się polityce i starania jego uwieńczone zostały pożądanym skutkiem, gdyż obecnie jest deputowanym. Jakkolwiek nie uważamy, aby dobrze rozstrzygnął zagadkę pogodzenia natężonej kultury wewnętrznej z działalnością zewnętrzną, zwłaszcza dla innych, musimy przyznać, iż samo postawienie kwestyi jest już zjawiskiem chwalebnem przy obecnem sobkowstwie i dekadencyi literatury francuskiej, a także iż książki jego odznaczają się niesłychanem bogactwem myśli subtelnych, jak przystoi na ucznia Renana i Stendhala. Już ten ostatni stawiał sobie także powyższą zagadkę i rozstrzygnął ją daleko lepiej: poezyą, smakiem czynu, który jednak pojęty został przezeń w sposób zbyt ciasny, w duchu karyerowiczowstwa. Wprawdzie etyka, o ile się nie opiera na ślepych in-

stynktach, dotychczas tej przepaści rozdzielającej nasze „ja“ od „innych“ nie zapełniła. Ale cóż nas obchodzi, że chwilowo nie możemy nauką pogodzić tej sprzeczności, jeżeli czujemy bezpośrednio przebieg jej rozstrzygnięcia „wzdłuż naszych nerwów“? Faktycznie szczęście i swobodę znaleźć można w natężonej kulturze wewnętrznej i zarazem w działaniu dla „innych.“

L. W.

LITERATURA POLSKA.

Adolf Dygasiński, *Garstka*. Zbiór nowel, obrazków i studyów.

Dygasiński posiada uznanie jako pedagog, popularyzator i tłomacz. Stosunkowo niezbyt dawno, przed ośmiu laty, wystąpił na arenę beletrystyczną, pierwiastkowo jako nowelista, następnie jako powieściopisarz. Szybko pozyskał pewną wziętość i poczytność. Krytyka dostrzegła w nim niepospolitego znawcę chłopów, z naciskiem podkreślała rzutkość i świeżość spostrzeżeń w odtwarzaniu zwierząt i wogóle życia całej natury. Ciasne ramy sprawozdania nie pozwalają nam poddać głębszej analizie jego uzdolnień. Wychowaniec naszego pozytywizmu, przejął się głęboko jego duchem, metodą, wszystkie poglądy i zasady poczerpnął z tej krynicy. Pozytywizm był konieczną fazą naszych stosunków, powłoką ideologiczną i pobudką teoretyczną nowego typu zjawisk społecznych — kapitalistyczno - mieszczańskiego. Niektóre umysły, obdarzone niepowszednią potęgą, potrafiły wyzwolić się z tych powijaków. Inni pozostali w zasadzie wyznawcami tego kierunku, ulegając pewnym przeobrażeniom, niegłębokim jednak i bardziej zewnętrznym. Dygasiński uwidocznia nam, o ile był to ruch płynący wązkiem łożyskiem, posiadający drogowskazy, odmierzone na metę niezbyt daleką i jak on zacieśniał widnokrąg umysłowy. Autor ten nie jest właściwie pogrobowcem tego kierunku, przechował on cały jego idealizm i wierzenia, a także brak i niemoc w ogarnięciu szerszych zagadnień. Bardziej znamienną jego cechą, chociaż także wypływającą z przesłanek pozytywizmu, jest ciągłe powoływanie się na „przyrodę,“ upatrywanie w niej jedynej siły twórczej wszystkich zjawisk i stosunków. Charakterystyczny pod tym względem jest szkic „W niewoli u dzikich,“ kreślący rozpamiętywanie o życiu i jego pierwiastkach człowieka przygotowanego do śmierci. Autor uznaje egoizm za jedyne źródło wszystkich popędów i zapatrywań, bohater jego twierdzi: „Kochałem się w sobie samym i dlatego kochałem ludzi, ich dzieła, przyrodę.“ Wygłasza jednak kilka trafnych sądów, np.: „Przyjaciele tworzyli we mnie to, co stanowi rzeczywistego człowieka i sami ze mnie czerpali ludzkość.“ Teorya egoizmu bynajmniej niezdolna objąć i wytłomaczyć wszystkich przejawów psychicznych. Jeśli kto utraci ukochaną istotę, opłakuje rozwiane marzenia o zespoleniu się wzajemnem, o podniesieniu się ponad zgiełkliwy tłum drobnych i powszednich spraw, udaremnioną potrzebę miłowania, oddania się i troszczenia o kogoś — czyż można splot tych uczuć całkowicie wymierzyć probierzem egoizmu?

Studyum „Narzeczeni, małżonkowie, rodzice i dziecko“ ma na widoku popularny i przystępny wykład wszystkich tych kwestyj. Razi w niem umiłowany przez autora żargon pozytywistyczno-przyrodniczy i nieumiejętność wyodrębnienia spraw społecznych od przyrodniczych.

„Głód i Miłość“ przedstawia młodą, ładną dziewczynę, miłość jej dla młodego technika, wzajemne upojenie błogiemi chwilami kochania i rozwiązanie tego stosunku, spowodowane przez mężczyznę, wkrótce przesyconego; z drugiej strony widzimy napastnicze próby bogatego rozpustnika, przedsiębrane w celu owładnięcia kobietą i w końcu pomyślne uwieńczenie tych zabiegów. Opowiadanie cechuje się pewnym talentem, obserwacya jednak jest dość powierzchowna.

„Złodzieje“ kreślą kilka sylwetek rabusiów wioskowych; wyobraźnię swoją zwrócił tu autor na właściwości zewnętrzne. Chłop p. Dygasińskiego — tego znawcy i rzecznika ludu — występuje zawsze w wykrzywieniu karykaturalnem: jest to istota głupia, przebywająca zwykle w kręgu bardzo nielicznych i poziomych uczuć. Autor nie może tego zrozumieć, że każda kategorya ludzi posiada dosyć rozległą skalę myślową i uczuciową i że nie godzi się rysować uciesznych figur chłopskich dla zabarwienia filistrów. W ostatnich czasach zaczął pisywać nowelki i obrazki dla kalendarzy i *Kuryerów*, co odbiło się niekorzystnie na jego talencie. Występuje on teraz często w roli dostarczyciela wesołych wrażeń i niewiele czasami się troska o wymagania artyzmu. Obrazek „Ptaki“ jest przekładem życia ludzkiego na język ptasich zwyczajów i właściwości. Krukami np. są żydzi; autor kończy rozważanie ich cech w ten sposób: złodzieje zawsze będą rozkradali przedmioty źle strzeżone. Niepoń, marnotrawca, niedołęga, jeżeli nie w ten, to w inny sposób, zawsze musi utracić to, co posiada.“ Zanadto naiwny pogląd na stosunki społeczne. Wogóle dosyć oryginalna i pomysłowa forma tego szkicu okrywa treść zużytą. Chlubnie wyróżniają się szkice: „Aktorka,“ monolog, „Rycerskość chłopska,“ gdzie został uchwycony błysk dodatnich uczuć chłopa, pragnącego zataić przed młodą żoną karę pieniężną, na jaką został skazany i czyniący to z ujmującą delikatnością. „Modus in rebus“ świadczy korzystnie o darze autora wynajdywania sytuacyi komicznych, nareszcie „Klawiszewski i Rózia“ przedstawia dzieje dwóch młodych ludzi, ślusarza i pokojówki, wyjazd ich do Brazyli i dalsze losy.

Wogóle ostatnie chronologicznie szkice p. Dygasińskiego zdradzają większe zrozumienie mechanizmu psychicznego.

Br. Ch.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Muzeum. — Szkoła malarstwa.

W parafii naszej cicho, strasznie cicho. Od czasu do czasu odezwie się z kurnika głos jakiegoś koguta, ostrzegającego śpiących przed świtem, lub skrzeczenie żaby, proszącej, żeby błota nie osuszano, bo gdzież biedna stroskaną głowę złoży? A że od dawien dawna mamy posłuszne i tkliwe serca, więc kogutów i żab słuchamy. I słuchać będziemy póty, póki silnie wichry gdakań i skrzeczeń nie zagłuszą, póki ożywcze fale brudu nie spłuczą, trupów nie zatopią i na nurtach swoich nie wyniosą łodzi — z ludźmi, z życiem. Czy długo czekać będziemy? Stare przysłowie powiada: nim słońce wejdzie, rosa oczy wyje...

A wyjada, wyjada je coraz bardziej.

Ale obecnie na szczególne odznaczenie zasłużył sobie ks. Chotkowski. Mąż ten przyjmował udział, jako radca miejski, w obradach nad kursami muzealnymi, o których wspominaliśmy w przeszłym liście. Naturalnie ksiądz Chotkowski jest przeciwnikiem wyższego kształcenia się kobiet. Sam fakt takiej niesympatyi przestał już być ciekawym — ciekawe są motywy, jakimi w celu zwalczenia opozycyi, posługuje się ten najświetniejszy niemal mówca austryacki. I tak: praca kobiet na polach do nich nie należących pod względem społecznym jest szkodliwą, zabierają one bowiem mężczyznom zajęcia lepsze, np. urzędy pocztowe. Wyłączną dziedziną niewieścią jest przemysł domowy i gotowanie obiadów. „Dobry obiad każdy zje i lubi, a gdy go w domu nie znajdzie, zje go u Hawełki.“ Kobiety w guberniach południowo-zachodnich Cesarstwa przysposabiają takie przysmaki, że nawet najidealniejsi poeci zjedzą je z apetytem — u nas nie uczy się nic praktycznego, my wychowujemy wielkie damy. Praktyczne wychowanie jest potrzebne, bez niego mężczyzna boi się żenić z „drogim meblem.“ Inne wychowanie jest sztuczne, prowadzi do nieporadności i do „czegoś gorszego.“ Obejmując program wykładów, ksiądz Chotkowski ubolewa „iż Spencera czytują panienki...“ A co one wobec tego będą miały za zasady etyczne! Tym, którzy chcą wyższego wykształcenia dla kobiet, życzy żony, która „liźnie trochę nauki i *nadyma się* tem właśnie, że nic nie umie, bo tylko rzeczywista wiedza daje skromność i przeświadczenie, że się nic nie wie.“ Kierunek na kursach Baranieckiego jest więc zgubnym, należy go zmienić. Wychowanie kobiet należyć powinno do kobiet duchownych, podobnie jak we Francyi. A tu młodzież praska domaga się dopuszczenia kobiet do uniwersytetów! Gdy ks. Chotkowski był rektorem, wręcz oświadczył, że na wydział teologiczny kobiet nie przyjmie. 20 mów pogrzebowych ogłosił drukiem, lecz nie słyszał nigdy, aby kobieta przemawiała nad trumną. Tymczasem na pogrzebie Baranieckiego pannę „wysztafirowano“ na mówczynię... A więc coś się "psuje w państwie duńskiem — o zgrozo!

Do przemowy tej dostraja się najnędzniejsze z piśmideł tutejszych. Głosi ono: „Gdyby, ucząc się, kobiety dowiadywały się, kto to był Tomasz z Aquino, św. Augustyn itp., wykształcenie nie byłoby rzeczą zdrożną. Ale one dowiedzieć się mogą, kto to był Darwin, Hartmann, Schopenhauer...“ Nieprawdopodobne ale prawdziwe.

Wsteczny wniosek dr. Jordana odrzucono i na przyszłych posiedzeniach rada zastanawiać się będzie nad wnioskiem sekcyi szkolnej.

Artyści Błotnicki i Stasiak otwierają tu kursy rysunków, malarstwa i modelowania. Wpisy postępują bardzo raźnie. Wykłady rozpoczną się z początkiem stycznia. Stasiak wystawił obecnie cały cykl swoich obrazów. Cykl ten obejmuje wszystkie jego utwory z wyjątkiem rzeczy drobnych. Produkcye te zasługują na wzmiankę obszerniejszą, pomówimy więc o nich w przyszłym liście.

Ferropar.

LISTY PETERSBURSKIE.

Sprawa wojny.—Ceny cukru. — Ograniczenie w adwokaturze Izraelitów. — Teatr polski. — Ks. Mieszczerski o rózdze. — Kaczka dziennikarska.

Powien pułkownik, Garnowski, baczą na to, że Francya i Niemcy wzywają do wojska nawet słabowite jednostki, mniema, że i Rosya powinnaby zwiększyć liczbę nowobrańców, chociaż nawet przy teraźniejszym systemie ma ona więcej żołnierza, niż Niemcy przy całem natężeniu i chociaż nie ilość, ale przedewszystkiem jakość wojsk stanowi siłę. Duch słusznie radził Gedeonowi, że lepiej mieć tysiąc ludzi rzeźkich duszą i ciałem, niż 10 tysięcy słabych.

Zachodnia Europa, wzywając wszystkich bez wyjątku, nie wzmacnia armii, ale osłabia. Nędzne ciury obozowe lamentami i stę-

kaniem odbiorą sprężystość innym. Zamiast wojaków ujrzymy tłum, a z tłumem sprawa łatwa.

Nietylko słabowitych, ale i jedynaków nie należy brać do wojska słusznie ze względów wojskowych. Wyraz „synek mamuni,“ może nie zawsze słuszny, nie napróżno się utarł. Jedynacy w każdej sferze są bardziej rozpieszczeni, zniewieściali, niż dzieci z liczniejszego rodzeństwa. Na wojnie korzyści oni nie przyniosą i staną się co najmniej balastem zbytecznym. Rosya w razie potrzeby mogłaby zwiększyć armię prawie w dwójnasób, nie uciekając się do słabowitych. W każdym razie wybór wtenczas byłby mniej ścisły i wiele mogłoby prześliznąć się takich, których Gedeon pozostawił ongi u rzeki. Gdyby Leonidas kierował się poglądami teraźniejszych strategików, nie mógłby wstrzymywać z kilku setkami żołnierzy stu tysięcy przeciwników.

Na zwycięztwo składają się następujące czynniki: 1) duch żołnierza, 2) geniusz wodza, 3) ruchliwość armii, 4) karność i porządek, 5) pozycya, 6) ilość wojsk. Najgłówniejszym jest duch armii, a Bonaparte dowiódł, że ruchliwość też jest nader ważną, że z dwóch równych ilości ta, która się może przerzucić w tymże czasie na podwójną przestrzeń, staje się dwakroć silniejszą. Armie zbyt wielkie, giną niekiedy od własnego ciężaru. Bezwątpienia jest pewne maximum, po za którem wszelki dodatek staje się nadmiarem, nie dziw więc, że wielkie armie rozłamują się zwykle na oddziały, ale jak postępować teraz, kiedy dróg dla oddziałów nie wystarczy — strategicy jeszcze nie wiedzą. Napoleon, idąc do Rosyi, zapomniał, co to znaczy ciężar masy i ugrzązł; powiadają, że go mrozy zgubiły — kto wie?.. Warto sobie przypomnieć, że małe Czarnogórze, dzięki energii i ruchliwości swych wojsk, nie dało się zwalczyć Napoleonowi; niektórzy twierdzą, że je ratowały góry, chociaż przecie w 1878 r. turków nie uratowały Bałkany, a Suworów, jakoteż Bonaparte umieli przechodzić z wojskiem przez Alpy. Czarnecki potrafił nawet przebyć na koniach cieśninę morską. Nie przeszkody tedy chronią od porażki, ale duch armii i jej ruchomość. Jużci i pozycya jest jednym z czynników, niegłównym jednak.

Jeżeli w obozie rozlega się tu i owdzie piosnka, śmiechy, jeżeli najtchórzliwszy nie śmie narzekać, można armii wróżyć pewne zwycięztwo, chobiażby była mniej liczną od przeciwnej. Skoro zaś usłyszymy biadania, wspomnienia o tem, jak w domu ciepło i miękko, lepiej zaniechać wyprawy. Francya i Niemcy przygotowują sobie takich żołnierzy.

Czy też wiecie, dla czego cukier nie doszedł do ceny np. pół rubla za funt? W ustawie bowiem, przy podwyższeniu cła na zagraniczny, orzeczono: Skoro w Petersburgu cena mączki dojdzie od 6 rs. do 6 rs. 60 kop., a w Kijowie i Odesie od 5½ do 6 rs. natenczas ministeryum finansów może żądać od rady ministrów zniżenia cła. Chwila taka zaczęła się zbliżać. Rada postanowiła: skoro cena jeszcze wzrośnie, zakupić za granicą potrzebną ilość cukru, opłaconą cłem w takim stopniu, ażeby cena mączki na południe nie przewyższała 5 rs. 10 kop.

W korporacyi adwokackiej izraelitów ma być odtąd nie więcej, niż 10% ogólnej liczby. Mniema ona, że to na jej moralność wpłynie dodatnio, gdyż wielu żydów wyniosło z domu niezbyt wysoką miarę etyki i swem postępowaniem nieraz zmuszają oni swych towarzyszów do rumienienia się. Ktoś twierdzi, że izraelici w swych działaniach podobni są do kobiet, to jest w dobrem i w złem przekraczają zwykłą ludzką miarę *).

Na odetchnienie od wrażeń mogę powiedzieć, że w teatrze polskim artyzm się budzi. Morska w wielu rolach jest znakomita, jak np. w „Ślubach panieńskich,“ w „Naszych aniołach,“ „Lenie,“ „Złotych górach.“ Mielnicki w tym ostatnim utworze był istotnym artystą. Czas już wreszcie oddawać główne role silniejszym, a pp. Wysockim, Karpowiczom trochę ulżyć; przy lepszem opracowaniu i ci bezwątpienia dostroją się do chóru. Warto wreszcie zaniechać wystawiania pustych jednoaktówek i takich nieudatnych dziwów, jak „Wieś do sprzedania.“ Nie chcemy ubliżać autorowi, ale zapewne przykry sen go nawiedzał w owych czasach, gdy pisał ten wodewilek.

Ks. Mieszczerski znowu pisze o rózgach. Przypomina on sobie, że będąc dzieckiem, wziął z cudzego ogrodu jabłko, za co otrzymał sowite plagi od ojca, poczem stał się uczciwym człowiekiem.

Sokrates twierdził, jak w odniesieniu do wzrostu między karłem i olbrzymem inni są pośredni, tak i w zaletach duszy nazwać kogoś najlepszym lub najgorszym jest rzeczą zbyt śmiałą. Otóż mniemamy, że szanowny publicysta nie może nazwać się najzacniejszym na ziemi, co znowu dowodzi, że w dziecięcych latach za mało plag otrzymał. Najzacniejszym będzie ten, kogo biją codzień i wreszcie ażeby wytworzyć idealnie uczciwego człowieka, trzeba pacholę bić od rana do wieczora — bez wytchnienia. Tak uczy logika.

W kilku gazetach, między innemi w dzienniku *Nowoje Wremia*, a potem i w *Kraju* czytaliśmy, że gmach, w którym się mieściła klinika dla obłąkanych, przebudowywa się dla urządzenia w nim kliniki chorób nerwowych. Zawiadywać nią ma dr. psychiatryi Daniłło. Wszystko to jest bajką. Gmach przerabiany jest dla innych celów. Klinika chorób nerwowych, jeżeli nawet z czasem dojdzie do skutku, to chyba w umyślnie na ten cel urządzonym gmachu i niezależnie od imienia doktora Daniłło. Dlaczego nie wymieniono kogoś innego, mającego nie mniej, a być może więcej praw. Ciekawą rzeczą byłoby zbadać, jak się to tworzą kaczki dziennikarskie.

N. B.

PAMIĘTNIK.

Przed nowym rokiem.

Pora przedświąteczna i przednoworoczna wyciska zawsze na życiu wielkomiejskiem swoje znamienne piętno. Zwalnia ona poniekąd pracę a natęża ruch jej płodów. Przemysł w wielu gałęziach zwykł na ten czas przygotowywać większe zapasy swych wyrobów, a handel — zbierać swoje główne plony. Czy pierwszy przygotował się obficie — nie wiemy, widzimy tylko, że drugi stęka. Obroty w sklepach są małe a ze strony nabywców objawia się wybitna dążność do kredytu. Pożąda go zarówno niedostatek, pragnący zaspokoić słuszne potrzeby, jak i zbytek, przekraczający granice swych środków. Jeżeli przestrasza nas wysokość jawnych długów na naszych hipotekach, to podobno jeszcze bardziej przeraziłaby nas wysokość długów tajemnych w rachunkach rozmaitych kupców. Czasem bowiem, właściciel sklepu z tkaninami lub galanteryą zdejmie sobie z ust pieczęć milczenia i wyskarży się na swoich klientów — wtedy pytasz uszu własnych, czy one się nie mylą. Jak tu bowiem uwierzyć, że jakaś pani średniej zamożności zadłużyła się na kilka tysięcy rubli u modystki lub kilkaset u owocarza! A przecież tak bywa. I właśnie tego rodzaju klienci i klientki sprawiają przed świętami największy ruch.

Publiczność płacąca wywołuje go głównie w sklepach, udekorowanych paniami i pannami, które za trud ściągania nabywców, dopilnowywania targu i procentów, strącanych ne rzecz dobroczynności, otrzymują od *Kuryerów* ponętny tytuł „ślicznych kupcowych.“ Siedzą te anioły stróże wszędzie: w księgarniach, dystrybucyach, cukierniach, sklepach galanteryjnych itd., a ich przyjaciele, wielbiciele i znajomi, których żadna inna siła nie zdołałaby opodatkować dla biednych, pod groźbą wymówki lub dąsu schodzą się i kupują: niepotrzebne im cygara, rękawiczki, ciastka, farby, piłki itp. Cóż robić! Jeśli nie można inaczej, trzeba w ten sposób wzruszać serca miłosierdziem.

W wyższym stopniu dokonywają tej sztuki jeszcze „śliczniejsze kupcowe“ na „jarmarku“ dobroczynnym, urządzonym w resursie Obywatelskiej, z którego już całkowity dochód wpływa do kasy Towarzystwa Dobroczynności. I tu, a raczej tu szczególnie powodzenie w targu zależy nie od serc czułych na niedolę, ale od czułych na wdzięki i rozmaite względy towarzyskie. Najładniejsza albo najarystokratyczniejsza dama zwabia najwięcej nabywców i najhojniejsze naddatki. Podczas gdy jedna dostaje za wdzięczny uśmiech, rubla, drugiej spada setka. A biedni, patrząc na to, proszą Boga, ażeby jak najwięcej stwarzał dam pięknych i arystokratycznych.

Konkurs dramatyczny.

Pomińmy drobne śmieszności, pomińmy biuletyny o każdem posiedzeniu komitetu konkursowego, podnoszenie całej sprawy do miary wielkiego przedsięwzięcia, otwieranie kopert na scenie i uroczyste ogłaszanie naswisk autorów prac odznaczonych — pomińmy to wszystko i przyznajmy, że *Kuryer warszawski* powziął myśl nową i przeprowadził ją z niewątpliwym pożytkiem dla sztuki dramatycznej u nas. Nowych talentów do życia nie zbudził, znakomitych utworów nie wywołał, gdyż najlepsze z nadesłanych nie zasłużyły na pierwszą nagrodę i nie wzniosły się po nad miarę prac średniej wartości, ale to nie było jego obowiązkiem i nie staje się udziałem konkursów wogóle. Ich sędziowie są lepszymi lub gorszymi znawcami, nie posiadają wszakże mocy czarodziejskiej. Ani tysiąc, ani milion rubli nagrody nie stworzy geniusza, gdy go nie ma, może tylko pobudzić talenty istniejące. Konkurs *Kuryera warsz.* nawet w kierunku tej pobudki podziałał słabo. Stawili się bowiem do turnieju znani pisarze teatralni bardzo nieliczni, z najzdolniejszych jeden tylko Bałucki (o ile wobec zamkniętych kopert wnioskować można z rezultatu), a prześcignął innych (odznaczony drugą nagrodą) W. hr. Koziebrodzki, autor „Nauczycielki,“ niestojący bynajmniej w pierwszym rzędzie talentów tego rodzaju. Pomimo to — jak rzekliśmy — *Kuryer warszawski* zasłużył na uznanie. Naprzód wprowadził szczęśliwą i oryginalną nowość do mechaniki konkursów dramatycznych, zawarłszy z dyrekcyą teatrów układ o przedstawienie sztuk wyróżnionych. Tym sposobem koło sędziów rozszerzyło się o całą ilość rozumnych bywalców teatralnych i krytyków, którzy również złożyli swe głosy, a nadto każdy utwór, przeszedłszy przez próbę sceniczną, lepiej uwydatnił swoje zalety i wady. Powtóre autorowie odznaczeni, otrzymawszy (niezależnie od nagród) po 300 rs. i tantyemę z dochodu, zostali po raz pierwszy wynagrodzeni nieźle za swe prace; pamiętajmy bowiem, że zwykle dostają oni 50 rs. za akt, co stanowi zapłatę mniej niż mizerną. Po trzecie przedstawienia konkursowe napełniały teatr, pomnażały jego dochody i podtrzymywały w nim ożywienie. Na tym więc ruchu skorzystała scena, kasa

*) Jest to spostrzeżenie bardzo trafne. Moralną bowiem przyczyną niezgody i zatargu z otoczeniem jest to, że żydzi posiadają za mało charakterów średnich — w znaczeniu ogólno-europejskiem — lecz grupują się na dwu przeciwległych biegunach, z których dodatni musi być mniej liczny. *Red.*

teatralna i autorowie, co jest wypadkiem pomyślnym, a u nas może bezprzykładnym.

Ten dodatni wynik osłabiony został tylko jednym ujemnym szczegółem, o którym już wspominaliśmy i nad którym chcemy się zastanowić, tem bardziej, że pozostaje on w związku z przyszłymi losami świeżo urzeczywistnionego pomysłu. Mówimy o usunięciu się od współzawodnictwa pisarzów utalentowanych i pracujących dla sceny. Konkursy dramatyczne straciły u nas kredyt. Pierwotnie stawali do nich autorowie wyższych rang, później niższych, a wreszcie zaczęli się cisnąć tłumnie prości szeregowcy i rekruci z rzadkim udziałem dostojników. Nareszcie doszło do tego, że taki turniej poczytywany jest za rodzaj namydlonego słupa z placu Ujazdowskiego z tandetnym garniturem, zegarkiem i butelką wina na wierzchu jako nagrodą dla zwycięzkich czeladników mularskich. A ponieważ w zabawach ludowych uczestniczą czasem także panowie, więc i tu mieszają się oni wyjątkowo, przeważnie zaś przypatrują się zdala wysiłkom i uciechom tłumu. Otóż naszem zdaniem należałoby albo te popisy znieść, albo nieco uszlachetnić. Ten drugi cel dałby się osiągnąć tylko przez wejście w szranki utalentowanych pisarzów scenicznych, ku czemu powinni mieć w pomyśle *Kuryera warsz.* pewną zachętę i podnietę. A doprawdy nie możemy pojąć, dlaczego by którykolwiek z nich uważał sobie za ubliżenie współzawodniczyć z towarzyszami i poddać się wyrokowi ludzi poważnych. Przewidujemy słabostkę, paraliżującą ten zamiar: jeżeli p. X. napisze komedyę i wystawi ją w teatrze, to chociażby mu krytyka wyraziła naganę, lżej zniesie on porażkę, niż wtedy, gdyby jednocześnie wypowiedziała pochwałę p. Y. i ogłosiła go nad nim zwycięzcą. To porównywanie i numerowanie zapaśników według sił, to przyznawanie wyższych i niższych nagród, to otwieranie lub co gorsze — nieotwieranie kopert głęboko rani miłość własną, zwłaszcza gdy ona jest zbyt rozdęta zarozumiałością. Ale czy ludzie, wyszydzający na scenie rozmaite małostki, nie powinniby pokonać ich sami w sobie? Sofokles nie cofał się przed myślą, że go pokona Eurypides lub ktoś całkiem nieznany; dla czegożby nasi Sofoklesi, Eurypidesi i Arystofanesi nie mieli pozbyć się tego fałszywego wstydu? Czyż oni rzeczywiście mniemają, że na każdego z nich muza zlewa zawsze najlepsze natchnienia? Byłoby to złudzenie dość naiwne.

Jeżeli powyższe słowa odbiją się grochem od ściany, nie będziem wcale uważali ich za zmarnowane, gdyż pomnożą ilość dowodów, że tworzymy zakątek prowincyonalny, którym rządzą drobne ambicyjki i drobne rachuby. *O.*

Wystawa szkiców.

W salonach „Spólki malarzów" urządzono dorocznym zwyczajem t. z. wystawę szkiców. Dlaczego ten bazar artystyczny nosi taką nazwę — trudno odgadnąć. Właściwie bowiem „szkiców" nie ma na nim prawie wcale, są tylko większe lub mniejsze obrazki nieznanych i pośledniejszych malarzów, zwłaszcza kobiet, oraz rozmaite przedmioty (parawany, patery, szkatułki itp.) ozdobione pędzlem. Ani wyliczać wszystkich płócien, ani ich oceniać nie możemy, gdyż z bardzo nielicznymi wyjątkami (np. druciarczyk p. Stankiewiczówny, niektóre obrazki p. Kanigowskiej) są to twory niedojrzałe lub mierne. Czynią one zadość tej tylko regule nowoczesnej estetyki, według której obraz jest zbiorem plam barwnych. Plamy kolorowe rzeczywiście na nich są — ale mało co więcej. Daleko lepiej przedstawia się sztuka stosowana do przemysłu, a w niej pierwszeństwo pod względem talentu, pomysłowości i gustu przyznać trzeba p. L. Kotarbińskiej. Jej np. patera z ostami jest bardzo ładna a parawanik w stylu chińskim — nader efektowny. Nie można również odmówić pewnego wdzięku i talentu obrazkom wypalanym na drzewie lub malowanym na atłasie.

Rysunków kredkowych, piórkowych itd., które najbardziej zasługiwałyby na miano „szkiców" i może najchętniejszych znalazłyby nabywców, wystawa prawie nie posiada. Krajobraz Brzozowskiego, jakaś kartka, wyobrażająca jegomościa, bawiącego się pajacem — oto niemal wszystko. A ceny? Jak zwykle u nas — słone. Ażeby zapłacić 50 lub 100 rs. za jakiś embryon artystystyczny, na to trzeba lekceważyć pieniądze i... sztukę. Tworzy się tu błędne koło: bogacze z wybrednym gustem nie kupią rzeczy lichych, ludzie średniozamożni, mający skromniejsze wymagania, nie wydadzą kilkudziesięciu rubli. Nie wiemy przeto, kto owe „szkice" nabywa. *W.*

Drugi tryumf.

Z niezwyczajnym w dawnych latach pośpiechem teatr nasz wystawił drugą operę Mascagniego „Przyjaciel Fryc," zapewniając mu nowy tryumf. W przeciwstawieniu do dramatycznej „Cavalerii" jest to spokojna sielanka, w której melodyjność nie występuje z prostotą dawnych mistrzów, ale zawiera motywy przystępniejsze dla ogółu. Jest to niewątpliwie utwór piękny, oryginalny, dający wiele zadowolenia artystycznego. Zdaje się, że po wysłuchaniu go nawet podejrzliwi sceptycy nie uważają Mascagniego za mierność wyszrubowaną środkami krzykliwej reklamy, lecz wielki i świeży talent, który już wiele dokonał, a jeszcze więcej obiecuje.

Zabawny spór.

Wysoce komiczna i zarazem charakterystyczna toczy się rozprawa między naszymi organami „większej własności ziemskiej" o parcelacyę. Początek i powód do tej rozprawy dała *Gazeta warszawska* szeregiem artykułów, usiłujących wyświetlić kwestyę: jak gospodaruje nasz chłop, czy należy drobić i rozsprzedawać folwarki działkami itd. Przeciw niej wystąpił *Wiek*. Gdyby chodziło o rozważenie tej sprawy ze stanowiska ekonomicznego, uważalibyśmy taki zamiar za słuszny i publicznych roztrząsań godny. Ale powoli wplątały się w spór nici uczuciowe i przeciwnicy zaczęli ronić takie wyrazy, jak „fałszywy wstyd," „złe konieczne" i tym podobne opiłki „honoru," startego w twardych warunkach życiowych. Odgadnąć łatwo, że obrońcom folwarków rani serce nietylko upadek gospodarstw rozparcelowanych, ale także i może w wyższym stopniu zmniejszanie się „czoła" narodu, które nie powinno go skazywać na smutne losy przez ustąpienie ziemi chłopom, niemal równającym się w przekonaniu tych panów protegowanym komisyi kolonizacyjnej.

Uprzytomnijmy sobie komizm położenia: chłopi, którym nikt nie wtłacza w głowy i serca obowiązku trzymania się ziemi, nabywają ją, o ile tylko mogą; obywatele, którym pisma i stróże dobra publicznego przypominają ciągle potrzebę zachowywania folwarków, sprzedają je, o ile tylko mogą. I ci sami, którzy się tego „wstydzą" i widzą w tem „złe," wyglądają z tęsknotą przez wszystkie okna swych dworów, azali nie idzie do nich gromadka chłopów z propozycyą rozkupienia majątku. Prawdziwie po szlachecku: ucałować żyda w brodę, a gdy dał pieniędzy, plunąć za nim; uciskać chłopów, a gdy nabyli folwark, zarumienionemi ze wstydu ustami westchnąć nad „złem koniecznem." Czego ci ludzie właściwie chcą? Manny i przepiórek? Możeby ktoś na to pytanie zdołał jasno odpowiedzieć.

„Wiarogodne źrodła."

Dzienniki przynoszą nam codzień niezliczoną moc projektów ważnych, zaczerpniętych „ze źródeł wiarogodnych"; przychodzą one najpierw w telegramach, następnie zjawiają się na szpaltach tych samych pism jako przedruki z gazet, które czerpią wiadomości „z pierwszej ręki," wreszcie po raz trzeci, jako streszczenie wniosków różnych organów prasy ruskiej. Ile jeszcze potem zmian i uzupełnień bywa, trudno zliczyć. Czytelnik obojętny na tem nie bardzo cierpi, ale częstokroć wiele bolesnych zawodów doznają ci, dla których projekt, zapowiadający np. rozszerzenie pola pracy, jest nadzieją zdobycia zarobków. Obecnie *Goniec urzędowy* zdziera płaszczyk prawdopodobieństwa z tego rodzaju wieści i wskazuje prawdziwie *źródła wiarogodne*, z których dane nie mogą podlegać żadnej wątpliwości. „W ostatnich czasach — pisze *Prawit. Wiest.* — w pewnych gazetach zjawiły się wiadomości o utworzeniu przy ministeryum dóbr państwa posad techników, inspektorów, kontrolujących drobny przemysł itd. Wskutek tych informacyj do ministeryum nadchodzą od różnych osób prośby o powierzenie im tych posad. Ponieważ utworzenie takich miejsc nie jest bynajmniej projektowane, a tymczasem składanie podań, obciążonych podatkiem stemplowym, naraża kandydatów na niepotrzebne wydatki, przeto ministeryum dóbr państwa uważa za swój obowiązek oświadczyć, że wzmiankowane wiadomości dziennikarskie są pozbawione wszelkiej podstawy." Takie samo zaprzeczenie czytaliśmy niedawno z powodu uparcie krążących w prasie pogłosek o skróceniu roku szkolnego i przyspieszeniu wakacyj. Ileż tego rodzaju bajki wyrządzają szkody spożywcom, jaki popłoch wzbudzają na rynkach i giełdach! Dzienniki częstokroć bezwiednie stają się sprzymierzeńcami spekulantów i przedsiębiorców. Ścisła kontrola takich kaczek, płodzonych przez głodnych i chciwych reporterów, nie byłaby zbyteczna. *Dr.*

SPRAWY EKONOMICZNE.

KONFERENCYA MONETARNA W BRUKSELLI.

Produkcya srebrna zasługuje na uwagę pod wielu względami. Siły wytwórcze spotężniały do tego stopnia w jej łonie, że sami producenci nie wiedzą, co mają czynić z tą masą kruszcu, wydobywającą się coraz obficiej z ich kopalń i zamiast zwiększonego zysku sprowadzającą nieraz bankructwa, w każdym zaś razie nieustającą zniżkę skali dochodów. W r. 1861 wydobyto 35¼ milionów uncyj srebra, a w r. 1874 już ilość ta się podwoiła. Odtąd zaczyna ona rosnąć zatrważająco, w r. 1890 dobiega już 144 milionów, technicy zaś i znawcy przewidują możliwość podniesienia jej aż do 300! Ponieważ zaś złoto w całym tym przeciągu czasu podniosło swoją produkcyę roczną bardzo słabo, przeto nieodzownem następstwem takiego stanu rzeczy jest spadnięcie wartości srebra. Uncya tego metalu była notowana na giełdzie londyńskiej 52,75 w r. 1874, 48,5 w r. 1885, obecnie zaś spadła do 38 zaledwie! Zresztą zjawisko to spostrzegać się daje również w dziedzinie wielu innych gałęzi przemysłu, a stanowi jeden z rysów charakterystycznych nowoczesnego ustroju wytwórczego. Atoli ponieważ srebro jest towarem, że tak powiem, uprzywilejowanym, gdyż służy za materyał surowy do przygotowania monety, przeto jego producenci zwracają się do państw z żądaniami, jakich nigdy chyba nie postawiliby właściciele kopalni węgla i zdrojowisk nafty lub fabrykanci wyrobów bawełnianych. Bo czyż słyszeliśmy że panom węglowym, chociaż są ludźmi wpływowymi, przeszło kiedykolwiek przez gło-

wę, iżby państwo kupowało corocznie 500 milionów tonn węgla i niszczyło je, dla zmniejszenia ilości wytworu na rynku i poprawienia interesu przedsiębiorstw kopalnianych? Tymczasem niemal coś podobnego spotykamy w Ameryce. Między innemi od kilku tygodni w Brukselli obraduje urzędowa konferencya monetarna, zwołana w zamiarze znalezienia pomocy dla producentów srebra, zagrożonych przez nadmiar wydobywanego metalu.

Zaznaczyliśmy wyżej nieustającą zniżkę wartości srebra w porównaniu ze złotem, która w ciągu ostatniego dwudziestolecia spadła o 35%. Gdyby kruszce szlachetne były jedynie zwykłymi towarami, nie posiadałoby to donioślejszego znaczenia, atoli ponieważ one spełniają jeszcze inną rolę — ogólno-społecznego miernika wartości i ogólno-używanego równoznacznika wymiennego, przeto ów spadek ceny srebra pociąga za sobą dalsze następstwa w łonie obecnej cywilizacyi klasowej, produkującej przedmioty jedynie na sprzedaż, a każda warstwa społeczna jest zainteresowana w tej sprawie. System monetarny posiada rozmaite postacie w poszczególnych krajach: Niemcy posiadają walutę jedynie złotą, Francya pozornie bimetaliczną, choć faktycznie skłaniającą się ku złotej, Austrya do roku bieżącego niby srebrną. Zależnie od tych różnic dążności partyjno-klasowe przedstawiają się odmiennie w różnych krajach lecz wszędzie w obrębie lądu europejskiego rolnicy np. domagają się wprowadzenia bimetalizmu, gdzie on nie istnieje, niedopuszczenia zaś waluty złotej, gdzie jej jeszcze niema. Świeżo np. 250 związków rolników angielskich ogłosiło bimetalizm za podstawowe żądanie warstwy land-lordowskiej. Podobnie jest on hasłem ziemian niemieckich, a żywioły feodalne przedlitawskie szły zwartą ławą opozycyjną przeciwko reformie waluty, jaką przedsiębrano niedawno w Austryi. Pobudki, kierujące w tej sprawie ziemiaństwem, są nader przejrzyste. Przypuśćmy, że zastosowano zasadę bimetaliczną w całej jej rozciągłości, t. j. że monety srebrne i złote jednako mają kurs przymusowy do wysokości dowolnej przy wypłatach itd., że każdy posiada prawo wysyłać srebro lub złoto do mennicy państwowej i wymagać wybicia z nich monety; wreszcie, że państwo ustanawia jakiś stały stosunek wartościowy pomiędzy srebrem i złotem, naturalnie kiedy te kruszce przybierają postać pieniędzy. Jakież będą następstwa? Wobec tego, że srebro, skutkiem warunków technicznych produkcyi, posiada stałą dążność do zniżki swojej wartości, na rynku towarowym będzie tańsze, aniżeli w monecie. Dzięki temu złoto będzie uciekało ze skarbca państwowego i porzucało szatę monetarną, srebro zaś będzie ją przybierało i z czasem stanie się jedynym towarem pieniężnym, a wartość pieniędzy zacznie odpowiednio spadać, co uwidoczni się w zwyżce ceny wszystkich innych produktów. Właśnie do tego wzdychają ziemianie europejscy. Wtedy bowiem podniosą się dochody ze sprzedaży plonów, a tymczasem długi, zaciągnięte dawniej i zakrzepłe w pewnej niezmiennej cyfrze nominalnej, zmniejszą się w swojej wysokości; również podatki stanowić będą procent mniejszy od dochodów. A korzyści te będą wciąż wzrastały w miarę dalszego spadku srebra. Te same pobudki każą dzisiaj argentyńskim właścicielom ziemskim tak uporczywie działać w kierunku przedłużenia srożącego się w ich kraju nieładu finansowego i dbać o dalszą zniżkę biletów państwowych. Otrzymując na rynku międzynarodowym za swoje wytwory kruszec, rozmieniają go w kraju na tem większą sumę papierową, im zawikłanie i bezład są gorsze. Owe papiery zaś posiadają kurs przymusowy. Wobec tego dochód z roli rośnie niesłychanie, a długi i zobowiązania, pozostające w dawnej wartości nominalnej, stanowią coraz mniejszą cząstkę majątku. Z tej samej racyi fermerzy północno-amerykańscy są gorącymi zwolennikami „grzbietów zielonych“ (papierów), „nawodnienia pieniężnego,“ a swoje żądania usprawiedliwiają tem, że kapitał miejski dotychczas wyzyskiwał ich bezwstydnie, trzeba więc pomnożyć pieniądze i w ten sposób wyzyskiwaczom odebrać część łupu. Podobne względy określają stanowisko innych warstw społecznych w tej sprawie a zawsze na dnie miłości platonicznej ku temu lub drugiemu kruszcowi spoczywa interes materyalny. Zapatrywanie każdej z nich jest jasne i niedwuznaczne. Atoli ta wyrazistość zmienia się nieco, jeżeli z jakiegoś kraju, a raczej prowincyi międzynarodowego obszaru wymiennego wypłyniemy na szerokie morze rynku wszechświatowego. Oddzielne państwa posiadają odmienne waluty, a ta okoliczność sprowadza odpowiednie następstwa. Ponieważ np. cena towarów, lubo idzie w górę, ze spadkiem srebra podnosi się wolniej, aniżeli wartość srebra spada, przeto finansista angielski, który w kraju własnym broni waluty złotej, w stosunkach swych z Indyami przedgangesowemi, o ile pośredniczą przy nabyciu bawełny surowej i przekazach długów z Londynu, żąda waluty srebrnej dla tej kolonii. Zresztą, należy dodać, że zawikłania tego rodzaju nie są zbyt liczne.

Słowem, zapanowanie srebra lub złota nie jest sprawą, którą nauka rozstrzygnąć może. Jest to nawskróś zagadnienie praktyczne, klasowe, a takie lub inne rozwiązanie kwestyi, to nie dowód dojrzałości naukowo-ekonomicznej, lecz wprost objaw zwycięztwa jednych warstw społecznych a porażki innych. Otóż warto przyjrzeć się, pod wpływem jakich interesów zwołana została obecna konferencya brukselska, trzecia z rzędu. Pierwszy zjazd bowiem odbył się w r. 1878, drugi w 1881. Ten ostatni skończył się nieco skandalicznie — został odłożony na kilka dni, później miesięcy, aż wreszcie chwila odnowienia go nigdy nie nadeszła. Ta okoliczność wskazuje już, że zadanie, jakie dawne zjazdy miały rozwiązać, było nierozwiązalnem, to jest pozostawało w stosunku wrogim do interesów klasy, przewodniczącej w krajach europejskich. Mianowicie chodziło zawsze o przywrócenie srebra do stanowiska równoprawnego ze złotem w obiegu pod postacią monety, a pobudkę do zwołania „znawców“ zawsze dawały Stany Zjednoczone. I dzisiaj wystąpiły one z pierwszą myślą, a wysłanie przez państwa europejskie swoich przedstawicieli jest raczej krokiem grzeczności, niż zamiarem skorzystania z uchwał. Ameryka północna z powodu zniżki srebra znalazła się w nader niekorzystnem położeniu. Jest to kraj, produkujący dzisiaj na globie ziemskim największą ilość tego metalu. Wobec spadku jego wartości właściciele kopalń zaczęli krzyczeć w niebogłosy i wreszcie za pomocą swoich kreatur politycznych przeprowadzili owe sławne bile srebrne, będące najjaskrawszym dowodem zapanowania możnowładców kapitału nad organizacyą prawodawczą Stanów Zjednoczonych. Bil pierwszy, wydany w r. 1878, głosi, że skarb państwowy ma zakupywać obowiązkowo srebra za 2—4 mil. dolarów miesięcznie. Istotna jego dążność polegała na tem, że ponieważ srebra było na rynku za wiele, więc państwo swoim zakupem zmniejszało jego ilość i chowało do piwnic, społeczeństwo zaś w postaci podatku składało się na to, aby dla dania wysokiej dywidendy wilkom giełdowym wydobywano stale pewną sumę srebra z ziemi i chowano je bezużytecznie w podziemiach skarbu. Atoli rachuba chybiła celu. Prawa rynku okazały się silniejszemi, niż wola prawodawców. Na razie cena srebra poszła w górę, atoli niebawem napłynęło sporo z innych okolic globu i sprowadziło dawne stosunki. *Silvermeni* przypuścili wtedy nowy szturm do państwa, którego owocem był nowy bil, z roku 1890, podnoszący wysokość zakupu obowiązkowego do 54 milionów uncyj rocznie, co równa się dla roku 1891 niemal 40% całej produkcyi srebra na globie ziemskim i obłożyło ludność Stanów Zjednoczonych, bez różnicy płci i wieku, ciężarem długu, wzrastającego rocznie mniej więcej o dolara na osobę. I cóżbyśmy rzekli, gdyby rolnicy postawili podobne żądanie? Fetyszyzm, jaki cywilizacya dzisiejsza wyznaje dla kruszców szlachetnych, jako stanowiących materyał dla bicia pieniędzy, zaślepił opinię publiczną. Ale zabawka z ogniem nie uszła bezkarnie Stanom Zjednoczonym. W zamian za srebro, przeznaczone do spoczynku w piwnicach skarbu, właściciele kopalni otrzymują bilety bankowe, które są wypłacane w złocie, mimo że wydane zostały na srebro — według ustanowionego, wyższego niż na rynku stosunku wymiennego. Metal zatem srebrny, o ile spoczywa w skarbcu państwa, uległ sztucznej podwyżce. A ponieważ na rynku wszechświatowym nie uwzględniają takiej samowoli w oznaczaniu ceny, a nadto srebro wciąż spada, przeto wartość metalu schowanego także się zmniejsza. Jest to bogactwo w pewnej części urojone. Otóż rządowi amerykańskiemu idzie o przeprowadzenie środków międzynarodowych, które by owo jego mienie urojone zamieniły na rzeczywiste. Nadto ponieważ srebro w Ameryce dzięki tym zabiegom posiada wartość nieco wyższą, napływa do niej zewsząd, a moneta złota odpływa. Skarb amerykański jest już dzisiaj zagrożony niemal zupełną utratą złota i bardzo poważnemi zawikłaniami finansowemi. W tem tkwi przyczyna zwołania konferencyi, od której Stany Zjednoczone spodziewają się ocalenia i owego skarbu i *silvermenów*. Amerykę poparły Indye przedgangesowe, w których panuje też waluta srebrna, co sprowadza liczne niedogodności. Z jednej strony ludność indyjska, opłacająca podatki, nie została wciągnięta jeszcze w wir wymienny międzynarodowy i spadek cen srebra na rynku wszechświatowym nie odbija się w odludnych ustroniach tego kraju, w którym dochody i ceny pozostają dawne. Z drugiej inne części Indyj produkują za pomocą kapitałów wypożyczonych w złocie z Anglii i opłacanych tym kruszcem; nadto cały handel indyjski, jako też rząd miejscowy żyją z kredytu angielskiego. Wszystko to działa nader ujemnie na grupy, które znalazły się w stosunkach wymiennych z Anglią; rząd np. lubo ma ten sam dług normalny w złocie, jednak winien uiszczać coraz większą sumę w srebrze, podatków zaś odpowiednio zwiększyć nie może, gdyż większość kraju nie odczuwa wpływów rynku międzynarodowego i nie doznała zwyżki cen towarów. Rządowi więc i handlowi indyjskiemu zależy wiele na tem, aby srebro podwyższyło się w swej wartości. Pozostaje zatem Indyom oraz Ameryce przekonać ląd stary o naukowej „prawdzie“ bimetalizmu, ku czemu sprzymierzeńca znajdują jeszcze w ziemiaństwie europejskiem oraz w unii łacińskiej, również zawalonej srebrem. Bimetalizm bowiem, zanim złoto porzuciłoby swoją szatę monetarną, wywołałby pewną zwyżkę srebra. Zresztą odnośne projekty brzmią rozmaicie. Ktoś żąda, aby państwa za wzajemnem porozumieniem się ograniczyły produkcyę srebra na globie i stworzyły szczególny syndykat *silvermenów*. Przemysłowcy powołują więc państwo, aby podjęło walkę z siłami wytwórczemi, których oni opanować nie mogą. Rządy amerykańskie i indyjskie są za tym projektem, ale ziemianie europejscy nie chcą o nim słyszeć. To znowu Stany Zjednoczone wnoszą oclenie srebra przy wywozie z każdego kraju. W ten sposób rozczłonkowanoby rynek międzynarodowy i wstrzymano dopływ metalu tego do Ameryki. Ziemianie są wrogami i tego projektu. Idzie im bowiem nie o pod-

niesienie ceny srebra, jak Ameryce i Indyom, ale o wprowadzenie gorszej waluty. Rzecz dziwna, że ekonomia polityczna potępiająo fałszowanie monet przez książąt średniowiecznych, dzisiaj broni planów ziemiańskich, zalecających to samo. Najważniejsza jednak, że nawet obrońcy srebra w konferencyi rozpadają się na wrogie obozy: na adwokatów, rządców i właścicieli kopalń, oraz ziemian. Godzą się tylko w bimetalizmie.

Niepodobna ani chwili wątpić o skutku konferencyi. W Europie rej wodzą warstwy, w których interesie spoczywa waluta złota. Nadto w każdem rozwiniętem pod względem wymiany społeczeństwie pożądany jest pieniądz, ulegający jaknajmniejszym wahaniom co do swojej wartości. Temu znowu czyni zadość jedynie złoto. Wreszcie dla skarbu państwowego, jeżeli raz zdobył on się na urzeczywistnienie waluty złotej, jest ona korzystniejsza, aniżeli bimetalizm. Wszystko to sprawia, że konferencya nie wyda skutków, oczekiwanych przez ziemian, oraz rządy zamorskie, życzące sobie, aby Europa wyciągnęła dla nich kasztany z ognia.

K. R. Ż.

REFORMY I ULGI BANKOWE.

W ostatnich czasach weszły na porządek dzienny sprawy trzech zasadniczych form kredytu, reprezentowanego przez trzy pierwszorzędne instytucye: bank włościański, szlachecki i państwowy. Już od lat paru zwrócono uwagę na praktyczne rezultaty działalności pierwszego i wywnioskowano, że usługi jego nie są dodatnie. Skutkiem tego postanowiono, jak już wiadomo czytelnikom, przekształcić zupełnie ustawę tej instytucyi. Zanim to nastąpi, toczą się żywe spory rzeczoznawców, odbywa się przegląd skutków w łonie petersburskiego Towarzystwa przemysłu i handlu. P. Muśnicki, w obszernym referacie scharakteryzował działalność banku włościańskiego. Zrazu operacye jego były drobne, miały na celu przedewszystkiem małorolnych i bezrolnych. Później, w ostatnim okresie — przeciwnie — klientami banku stali się włościanie zamożni. Taki stan rzeczy nie zgadza się wcale z dążnością organizacyi kredytu włościańskiego; miał on na celu niesienie pomocy istotnie biednym. Jaskrawiej zaznacza ujemne skutki p. Szarapow. Oglądał on osobiscie obszary ziemi, nabytej przez włościan przy pomocy banku w pow. juchnowskim gub. smoleńskiej. Grupa ich kupiła 540 dziesięcin bardzo urodzajnego gruntu (od dawien dawna użyźnianego), za sumę dość nizką — 17 tysięcy rubli. Dla zapłacenia gotówką 3,000 rs., nowi właściciele sprzedali zabudowania, park i ogród na wycięcie, nadto, zapożyczyli się gdzie tylko było można na bardzo uciążliwych warunkach (po 5 kop. od rubla miesięcznie). Włościanie z dwóch wsi rozdzielili ziemię na połowę, jęli zasiewać len sami lub oddawać w bardzo tanią dzierżawę pod zasiew tego produktu, byleby tylko zdobyć potrzebną sumę na umorzenie długów prywatnych i bankowych. Po sześciu latach takiej gospodarki rabunkowej, tj. zasiewania lnu i żyta bez nawozu (brak bowiem było inwentarza), urodzaje zupełnie upadły. Długi prywatne zdołano wprawdzie spłacić; ale trzeba jeszcze co rok wnosić do banku 1050 rs., a na to już środków niema. Urosną zaległości i po kilku latach ziemia zupełnie wyczerpana przejdzie na rzecz banku, a włościanie staną się uboższymi niż przed nabyciem gruntów.

P. Szarapow upatruje przyczynę złego w formie działalności banku. „Zmieniłaby się postać rzeczy, gdyby to była instytucya agronomiczna, przychodząca z pomocą włościanom w pierwotnej eksploatacyi ziemi nabytej.“ Chłop z gołemi rękami, przytem zadłużony, nie może rozpocząć żadnej kultury prawidłowej i z natury rzeczy musi prowadzić gospodarkę rabunkową. Zdaniem p. Szarap., bank mógłby skorzystać z usług przyszłych „agronomów powiatowych,“ nadto powinien przy pożyczkach udzielać osobne sumy na koniczynę i pługi. Tym sposobem mógłby wzmocnić i utrwalić kulturę na gruntach nabytych. Naturalnie, p. Szarapow zapewne ma na myśli niektóre miejscowości państwa, gdzie tylko te dwa środki mogą podnieść gospodarkę chłopską. Nie wszędzie atoli koniczyna i pługi wystarczają.

Te charakterystyczne uwagi i poglądy w przededniu gruntownej reformy ustawy banku włościańtkiego niewątpliwie wpłyną poniekąd na zmianę niektórych paragrafów w duchu zrobienia z tej instytucyi niejako orędowniczki i nauczycielki agronomicznej włościan.

Ogólniejsze znaczenie ma zapowiedziane rozszerzenie i uprzystępnienie kredytu Banku państwa. Główną dążnością w tym względzie jest — pomnożyć jak najbardziej liczbę jego oddziałów, co się da zrobić za pomocą przekształcenia zastarzałych i nieprzynoszących istotnej korzyści tak zwanych „kas skarbowych“. Liczba filii prowincyonalnych Banku wzrasta bardzo powoli i w całem państwie nie przewyższa setki. Obok nich istnieją bez żadnych zmian dotąd kasy skarbowe, gubernialne i powiatowe, skostniałe, trzymające się ściśle formalistyki kancelaryjnej. Są to instytucye — jak nazywają *St.-Peterb. Wied.* — ciasno-biurokratyczne, nie mające nic wspólnego z organizacyą miejscowego przemysłu i handlu i niedostarczające taniego przystępnego kredytu. Ta przeżyta forma zdaje się prędko już zniknie gdyż u steru zwrócono uwagę na ogromną jej niewłaściwość. Pomimo małego pożytku i bezcelowości istnienia, kasy skarbowe prawie $6\frac{1}{2}$ razy przewyższają liczebnie oddziały Banku. Ogółem jest ich w całem państwie 646, w tem 66 gubernialnych i 580 powiatowych. Otóż, o ile wnosić można, w zasadniczym planie reformy nakreślono wprowadzenie systemu bankowego kas skarbowych, usunięcie zaś zupełne dotychczasowej ich postaci zmartwiałej, paraliżującej nawet, jak utrzymuje prasa ruska, praktyczną działalność finansową skarbu.

Na zachodzie Europy ów system bankowy kas państwowych istnieje od wieku XVII-go. Początek dała Anglia. Najszerszem zastosowaniem cieszy się on w Belgii. Bank narodowy w tem małem państewku wykonywa wszelkie operacye kredytowe najpotrzebniejsze. Otworzył on swoje oddziały wszędzie, gdzie tylko władza państwowa uważała za rzecz niezbędną. W całem państwie istnieje obecnie 45 odziałów (na $5\frac{1}{2}$ miliona ludności). Tak wielkiego rozgałęzienia instytucyi bankowej żaden kraj nie posiada. Oprócz udogodnień praktycznych dla ogółu, bank narodowy daje znaczne dochody, co najmniej 2,500,000 franków czystego zysku rocznie. Przytem rząd nie ponosi żadnych wydatków na maszyneryę kasową, a więc wpływ rzeczywisty kilkakrotnie jest większy. Nadto, skutkiem bankowego systemu rachunków, belgijski minister skarbu ma zawsze dokładny obraz dochodów i rozchodów państwowych. Najlepszą organizacyę bankową po Belgii posiada Anglia; w innych państwach ujawnia się dążność do naśladownictwa urządzeń doskonalszych. Obecnie z powodu przedsięwziętego planu reformy, Rosya również uważnie się rozgląda w systemie belgijskim.

Trzecią kwestyą na dobie są ulgi dla pożyczkobierców banku szlacheckiego. Jeszcze w drugiej połowie lutego r. b. dano mu Najwyższe pozwolenie wypuścić pięcioprocentowe listy zastawne na 90,000,000 rs. Z tej sumy rynki pieniężne otrzymały ogółem 42,000,000; obecnie zaś postanowiono resztę, tj. 48 mil. wypuścić nie w 5%, lecz $4\frac{1}{2}$% listach; ich zaś realizacyą zajmie się Bank państwa. Wobec tego dają się słyszeć głosy powątpiewające o takiej obfitości kapitałów, które pozwalałyby na ową zniżkę procentową. Niedawno Bank państwa z pewnym wysiłkiem zrealizował drugą emisyę pożyczki kolejowej. Papiery te dały się rozmieścić właściwie tylko w instytucyach kredytowych nie zaś w rękach kapitalistów małych i średnich, szukających pewnej lokacyi swych oszczędności. Wobec tego bardzo słaba jest nadzieja pomyślnej i szybkiej realizacyi listów zastawnych szlacheckich.

Drog.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Ruch przemysłowy. Ożywienie w rozwoju przemysłu wielkofabrycznego trwa ciągle. Oto świeże fakty: Przędzalnia mechaniczna w Markach pp. Briggs i Pesselt w roku bieżącym znacznie rozwinęła swoją działalność. Właściciele uznali nawet za stosowne rozszerzyć zakres przedsiębiorstwa przez pobudowanie nowych pawilonów na warsztaty i sprowadzenie większej ilości maszyn. Roboty trwały przez całe lato.

Grono kapitalistów zakłada fabrykę, mającą wyrabiać cukier z melasy za pomocą ulepszonych metod. Kapitał 500,000 rs. Jeden z uczestników wyjechał za granicę dla zbadania ostatnich postępów tej fabrykacyi.

Zakłady fabryczne firmy C. A. Meyerhoffa w Zgierzu nabył p. Edward Herbst za 405,000 rs. Kupno miało na celu jedynie ułatwienie likwidacyi interesów zachwianej firmy Meyerhoffa. Część maszyn przędzalniczych tej fabryki zakupiła firma „Briggs i Posselt“ w Markach. Na maszynach tych dotychczasowy właściciel wyrabiać będzie towar dla wymienionej firmy.

Inżenier Rephan zażądał pozwolenia na urządzenie w fabryce mechanicznej przy ul. Waliców osobnych oddziałów dla wykonywania maszyn dynamoelektrycznych, elektrometalurgii, galwanoplastyki, wyrobów telegraficznych, kolejowych, aparatów telefonowych itp.

W Ozorkowie miejscowy lekarz, dr. Adolf Kleindienst, zakłada przędzalnię wełny. W tym celu nabył on stary, pusty budynek murowany oraz motor parowy o sile 20 koni. Nowa fabryka zatrudni 200 robotników. Mzszyny będą sprowadzone z Anglii. Dr. Kleindienst jest dzierżawcą przędzalni wełny w Zgierzu.

Do nowobudującej się w Zduńskiej Woli fabryki mechanicznej wyrobów wełnianych firmy M. A. Wiener sprowadzono ze Szwajcaryi (Wintertuhr) motor parowy o sile 50 koni. Odpowiedniego kotła dostarczyła warszawska fabryka Bormana i Szwedego. Maszyny te są montowane obecnie na miejscu w Zduńskiej Woli, dokąd następnie przeniesioną ma być z Łodzi cała fabryka M. A. Wienera.

Wkrótce powstanie w Łodzi skład towarów jedwabnych i wełnianych moskiewskiej firmy handlowej Natansohn i Apostel, handlującej wyrobami jedwabnymi fabryk Szałajewa i Żyro, oraz wyrobami wełnianymi fabryk Schradena i Michajłowa w Moskwie.

Widzimy więc, że obecne ożywienie wielkoprzemysłowe u nas przejawia się głównie w przemyśle tkackim i przędzalniczym.

Podatki. Zapadła uchwała Rady państwa w przedmiocie podwyższenia podatku dodatkowego od przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych w r. 1893 o 25%. Według tej nowej normy obliczony na trzechlecie od 1891 do 1893 r. podatek dodatkowy wynosić będzie nie 4,400,000 rs., lecz $5\frac{1}{2}$ milionów. Z tego źródła ministeryum skarbu otrzyma prawdopodobnie około 700,000 rs. rocznego dochodu. Od podatku uwolnione będą winotłocznie i fabryki win owocowych, niemające charakteru przemysłowego. Do podzielenia ogólnej sumy podatku pomiędzy oddzielne fabryki utworzone będą specyalne komisye podatkowe, pozostające pod przewodnictwem zarządzającego poborem akcyzy i składające się z 6 członków, mianowanych

przez gubernatora z pośród fabrykantów miejscowych.

— Rada państwa zatwierdziła projekt ministra finansów, dotyczący powiększenia kar za fałszowanie i podrabianie etykiet handlowych oraz znaków fabrycznych. Na przyszłość winni podlegać będą karze od 500 do 3000 rs. albo zamknięciu w więzieniu od 6-u miesięcy do 2-ch lat z pozbawieniem czasowo lub na zawsze prawa do prowadzenia handlu.

— Rada rękodzieł przy departamencie handlu zmieniona będzie na przemysłową. W skład jej wchodzić dzić mają przedstawiciele głównych ognisk przemysłowych. Charakter jej będzie doradczy.

Z rynku.

Bawełna. Cena bawełny podniosła się w ciągu trzech tygodni o 4 rs. na pudzie; przędza wigoniowa (bawełniana mieszana z odpadkami wełny) o 3 rs. na pudzie. Że dążenie zwyżkowe dla wyrobów bawełnianych z surowego do nich materyału jest ogólne, dowodzi podskoczenie cen surowych metkali w fabrykach tego towaru w Moskwie i Petersburgu o 1½ kop. na arszynie. W Łodzi ten sam rodzaj wyrobu bawełnianego podrożał dotąd tylko o ½ do ¾ kop. na arszynie, stosownie do gatunku.

Mączka cukrowa. Według wiadomości otrzymanych z Kijowa, ostatnie tranzakcye o mączkę cukrową odbyły się z warunkiem odstawy na stacye kolei południowo-zachodnich po 5 rs. 15 kop. za pud teraźniejszego towaru, a na styczeń—luty po 5 rs. 20 kop. Biorąc na uwagę, że te tranzakcye odbywały się z warunkiem spłaty wekslami 6-miesięcznymi po potrąceniu 10% od puda na procent bankowy, cena mączki cukrowej jest prawie równą cenie wyznaczonej przez ministra skarbu.

Nafta. Cena nafty w ostatnich czasach znacznie wzrasta. Pud dobrej kaukazkiej kosztuje obecnie rs. 1 kop. 55.

Ryby. *Gazeta warszawska* donosi, że tak zwany „syndykat rybny,“ utworzony jako konkurencya przeciw Spółce rybackiej, mającej sadzawkę przy ul. Dobrej, sprowadził znaczną ilość ryb (z powodu nadchodzących świąt) z gub. grodzieńskiej i z okolic Pińska, gdzie wydzierżawiono kilka jezior. Wiemy, iż spółka sprzedaje wyłącznie ryby żywe, a więc współzawodnictwo „syndykatu,“ który z tak daleka prawdopodobnie zwozi ryby śnięte, groźnem być dla niej nie może. Wielka szkoda, że *Gazeta* nie donosi, kto utworzył „syndykat.“

Targi warszawskie dn. 19 b. m. *Plac Witkowskiego*. Ożywienie niewielkie. Za pszenicę wyborową płacono 6,35—6,40 (korzec), za białą 6,15; pstra nie miała powodzenia. Za żyto przednie 4,75—4,80, średnie 4,70 pospolite bez obrotów. Owies 2,95—3.0. *Targ na Pradze*. Obroty bardzo małe przy dowozie dość znacznym. Za żyto wyborowe płacono 84—85 kop. (pud), średnie 82—83. Owies pajlepszy 89—92, średni 82—87, pospolity 77—80 k. Gryka 88—92. Jęczmień wyborowy 92. Na pasze 70—75. Kasza jaglana 96—104. *Magazyny tranzytowe*. Żyto 73—85, jęczmień i owies 74—92, kasza jaglana 94—104, gryka 85—93.

Okowita. Hurtowa wiad. 100° brutto z potrąc. 2% 11,28, netto bez potr. 11,05; wiad. 78° br. z potr. 8,80, n. bez potr. 8,62. Szynkowa: wiad. 100° brutto z potr. 2% 11,43 n. bez p. 11,20, wiad. 78° br. z potr. 8,91½, netto bez potr. 8,74.

O PRAWDĘ.

W nr. 51 *Prawdy* znalazłem ocenę pracy mojej, której sprawozdawca odsądza od wszelkiej wartości krytykowaną książkę przedewszystkiem na tej zasadzie, iż stara się ona naukę zbytnio uprzystępnić, Szanowny mój krytyk należy widać do tej nielicznej już dziś na szczęście garstki pseudo-uczonych, którzy pod płaszczykiem obrony praw nauki starają się innym wstęp do swej mądrości najeżyć kolcami, zupełnie jak pewien majster kowalski, który na zadane mu niedawno przeze mnie pytanie, dla czego pozwolił na to, aby jego uczeń niepotrzebnie sobie spalił skórę na ręku gorącem żelazem, skoro mógł go od tego uchronić, odpowiedział mi: „a niech pozna ten młokos, co to rzemiosło, niech wie, że to nie zabawka.“ Dosłownie w tym duchu pisze mój krytyk. Dzisiejszy kierunek pedagogiczny, powiada on w swej ocenie, „popycha naukę do ust uczniowi nieustającym potokiem zachęt,“ zupełnie tak samo, „jakbyśmy wmawiali w dziecko, aby połknęło gorzkie lekarstwo,“ nauka winna uświadamiać uczniowi trudności, napotykane przy badaniu itd. Zdania te, o ile są w pewnej mierze słuszne, gdy chodzi o „naukę“ we właściwem znaczeniu, o samodzielne badania, o tyle są fałszywe, a nawet szkodliwe, gdy mowa o „nauczaniu“ dzieci. Przypominają one owego pedagoga, który radził sprzeciwiać się systematycznie i niesprawiedliwie dzieciom, łamać im zabawki, bić bez powodu, aby zahartować je do walki z przeciwnościami życia. Recenzent dziełka mego występuje przytem w roli medyka teoretyka, zarzucającego lekarzowi praktykowi, iż niepotrzebnie osładza pigułki, dodany bowiem do nich cukier nie wywiera działania leczniczego. Trzeba chyba nie znać zupełnie umysłów dziecięcych, aby sądzić, iż kwestye naukowe mogłyby je same przez się zająć. Umysłów takich nie uderza nigdy żaden fakt naukowy, dopóki nie zostaną drogą naturalną, czy sztuczną przygotowane do zrozumienia jego ważności, dopóki nie zostaną „zaciekawione“ tą stroną przedmiotu, która jest dostępną dla ich pojęć. Nie należy się obawiać, że w przyszłości, przystąpiwszy do samodzielnych badań, uczeń napotka trudności, jakich nie przewidywał; jeżeli bowiem dalszy kierunek naukowy ucznia będzie właściwy, potrafi on samodzielnie pokonać te trudności, jak pokonywali je wszyscy badacze. Pocóż zawczasu niepotrzebnie utrudniać mu, bądź co bądź. trudny wstęp w dziedzinę nauki? Teoretyk, fantazyjący na temat metod pedagogicznych przy swem biurku, łatwo może doradzać podawanie nagiej nauki i starania skierowane ku wprowadzeniu dzieci w nieznaną im dziedzinę wiedzy drogą ich własnych pojęć i sposobów myślenia, może nazywać sobie osładzaniem pigułek, lecz pedagog praktyk, wobec takich rozumowań może się tylko uśmiechnąć, za wiele bowiem energii życiowej stracił, zanim się przekonał, iż dawniejsze metody podawania dzieciom wiedzy suchej stanowiły tylko sposoby sztucznego naginania mózgów dziecięcych do pojęć im niewłaściwych. A ileż to i ludzi dojrzałych, samouków zniechęca się do nauki tylko wskutek niemożności przezwyciężenia pierwszych trudności! I pocóż wogóle stawiać trudności tam, gdzie są niepotrzebne? „Uświadamianie uczniowi trudności“ badań ściśle naukowych jest rzeczą nauczyciela, kierującego badaniami ucznia, ale nie może być przedmiotem książki, przeznaczonej dla dzieci, a tem bardziej wykładu popularnego dla samouków. Ileż to dzieł traci swą wartość właśnie wskutek tego tylko, iż są dostępne jedynie dla chcących i mogących pokonać stos przeszkód, napotykanych przy ich czytaniu? Dzieła popularne nie są przeznaczone dla specyalistów, ani nie mogą mieć na celu przygotowania fachowców, mogą tylko dążyć do „zachęcania“ umysłów surowych do zajęcia się nauką, winny w sposób jaknajdostępniejszy dla tych umysłów odsłonić im nieznany dla nich świat myśli. Sądzę, iż ogromna większość czytających moją książkę składa się z ludzi, którzy w przyszłości będą rzemieślnikami, kupcami, urzędnikami, adwokatami; dlaczego mam im „uświadamiać trudności, napotykane przy badaniu lub studyach“ botanicznych, skoro botanika stanowi dla nich przedmiot uboczny? Wyrobienie siły charakteru, o ile prawdą jest, iż nauka ją wyrabia, pozostawmy metodom nauk zasadniczych; dlaczego niezależnie od tych teoretycznych celów nauki przyszły rzemieślnik czy kupiec nie ma wiedzieć, czem się zajmuje botanika, tego nie rozumiem. Ze swej strony oświadczyć muszę, iż życie swoje poświęcam właśnie tylko na uprzystępnienie wiedzy, bez żadnych ubocznych względów i dlatego smutnym wydaje mi się fakt, iż są ludzie, którzy ułatwienie wstępu do nauki za błąd uważają. Jeżeli najważniejszym błędem książki czytanej i zachęcającej do nauki, w porównaniu z książkami, zalegającemi półki księgarskie, ma być to, iż nie podają jak drugie suchych tylko faktów i uogólnień, lecz zaczynają swe rozdziały od wyrazów: „czy jest człowiek,“ „czy to nie dziwne i nie ciekawe“ itd., to bodajbyśmy jaknajwięcej książek z takimi błędami mieli. Zresztą sam krytyk w końcu wpada w sprzeczność z sobą, gdyż starając się naprzód dowieść, iż zaciekawienie faktami, mającemi uboczne znaczenie i formą anegdotyczną jest metodą błędną, w końcu swej recenzyi powiada, iż „byłoby zasługą zebranie tak rozmaitych wiadomości“ i że „strona anegdotyczna jest dla uczniów i mniej przygotowanych czytelników ważną i pożyteczną.“ Cóż znaczy w takim razie cały ów długi wstęp do recenzyi, dowodzący założenia przeciwnego? Tak samo co znaczy, iż wykład popularny winien podawać tylko same uogólnienia bez faktów, które wyzyskuje tylko zła popularyzacya, skoro krytyk dalej powiada, iż fakty są cennymi wskazówkami dla fachowca, a dodajmy, iż są przedewszystkiem cenne jako podstawa i wyjaśnienie uogólnień.

Powyższe wyjaśnienia stanowią tylko protest przeciw fałszywym zasadom, głoszonym przez mego krytyka, lecz bynajmniej nie stanowią obrony mego dzieła, do którego zarzuty recenzenta nie powinnyby się odnosić. Uwzględniając bowiem rozliczne wymagania, jakie mogą stawiać czytelnicy mojej książki, z jednej strony uczniowie, będący pod kierunkiem nauczyciela, z drugiej samoucy, prowadzę swój wykład metodycznie, opierając go ciągle na spostrzeżeniach i doświadczeniach, które wykonywać uczę i zalecam, a więc uświadamiam moim uczniom owe trudności przy badaniu, o których mówi krytyk, jakkolwiek czynię to ze świadomością poziomu umysłowego, na którym przypuszczalni czytelnicy moi stoją. O tej stronie dziełka mego krytyk przemilcza widocznie dlatego tylko, aby krytyka jego nie straciła całej wartości; stawia mi więc świadomie niesłuszny zarzut. Zarzut to jednak stosunkowo najmniej fałszywy, cała bowiem krytyka, poczynając od zarzutu na wstępie położonego, iż książka moja ma aż trzy tytuły, aż do końca jest tylko stekiem zarzutów fałszywych. Położony na czele książki mojej napis: „Tajemnice przyrody,“ jak wiadomo i jak wskazuje numeracya, odnosi się do całego szeregu książeczek, wyrazy „kurs popularny“ itd. wzięte w nawias i umieszczone pod właściwym tytułem stanowią tylko wyjaśnienie natury wykładu i nikt ich chyba inaczej nie rozumie, zarzut więc dotyczący trzech tytułów jest fałszem świadomym tak samo, jak wszystkie zarzuty następne. Nieprawdą jest bowiem, iż w książce mojej „uczony musiałby za pomocą mikroskopu lub wagi odkrywać ślady swojej nauki,“ dość bowiem gdziekolwiek otworzyć książkę, aby się przekonać, iż nauka niczem nie osłonięta tchnie z każdej jej stronicy. Nieprawdą jest, iż morfologia i fizyologia roślin traktowana jest w książce pobieżnie, oprócz bowiem kilku wycieczek w dziedzinę pokrewnych nauk w celu przygotowania ucznia do zrozumienia znaczenia podanych faktów, całe dziełko poświęcone jest wyłącznie wykładowi morfologii i fizyologii roślin i to co najmniej tak obszernie, jak w każdym tej samej objętości podręczniku wymienionych nauk; nie pomoże tu krytykowi odłączanie za przykładem Wiesnera fizyologii od biologii (większoś biologów uważa za przedmiot tej nauki uogólnienia zjawisk życiowych, a nie jak Wiesner i krytyk oderwane fakty praktyczne, pośrednio tylko związane z botaniką), każdy fakt bowiem dotyczący ustroju lub życia rośliny należy do botaniki. Nieprawdą jest dalej, iż staram się wyzyskać tylko efektowne ciekawostki nauki, nie pominąłem bowiem ani jednej zasadniczej, a właściwej w elementarnym podręczniku kwestyi naukowej z danej dziedziny wiedzy i uczyniłem to raczej, ze względu na przeznaczenie książki, zbyt obszernie i poważnie.

(D. n.).

Maksym. Heilpern.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Ministeryum spraw wewnętrznych zalecilo zarządom miejskim wydzierżawiać grunty miejskie wyłącznie drobnym rolnikom. Oddawanie ich przedsiębiorcom, którzy następnie kawałkami odstępują mniejszym dzierżawcom — zostało wzbronione.

— W tych dniach otwarto dwie poczekalnie dla robotników w Warszawie: na placach Broni i Witkowskiego. Urządzono w nich herbaciarnie i garkuchnie.

Szkoły. Postanowiono ostatecznie zaopatrzyć szkoły ludowe w grunty i jednocześnie do kursu wprowadzić obowiązkowo ogrodnictwo, warzywnictwo i wiadomości z agronomii ogólnej.

— Ogólne wydatki ministeryum oświaty na r. 1893 obliczono w sumie 7,127,253 rs. Główne źródła dochodu w budżecie ministeryum są opłatą za naukę w zakładach szkolnych 3,682,038 rs. dochód z internatów 871,875 rs. itd.

— Ministeryum oświaty wydało rozporządzenie, aby uczniowie z okręgów naukowych wschodnich nie byli przyjmowani do innych uniwersytetów, oprócz tomskiego, o ile pragną wstąpić na wydział lekarski. Jednocześnie studenci tego uniwersytetu nie będą mieli prawa przenosić się do innych w obrębie państwa bez specyalnego zezwolenia ministra.

— Dyrekcya szkoły rolniczej w Dublanach rozpisała konkurs na posadę asystenta przy katedrze botaniki z płacą 600 zlr. i mieszkaniem. Podania przyjmowane będą do 25 stycznia r. p.

Dobroczynność publiczna. Pozwolono zbierać składki w całem państwie na pogorzelców miast: Mozyra, Borysowa i Miru (w gub. mińskiej).

— W Radomiu odbyło się przedstawienie amatorskie na rzecz miejscowego Towarzystwa dobroczynności oraz wdów i sierot po rzemieślnikach. Wykonawcami widowiska byli przeważnie pracownicy kolejowi i rzemieślnicy.

— W Łomży urządzono raut na rzecz miejscowego Towarzystwa dobroczynności.

Zdrowie publiczne. Przed świętami komisye sanitarne zrewidowały w Warszawie 207 zakładów spożywczych i za nieświeże produkty i inne nieporządki 19-tu właścicieli pociągnięto do odpowiedzialności sądowej.

— W Krakowie panuje tak silna ospa epidemiczna, że dla chorych trzeba było otworzyć szpital, dawniej czasowy choleryczny. Najbardziej się zagnieździła ospa we wsiach okolicznych.

Zmarli. John Lemoine, w Paryżu, słynny publicysta francuski. Ur. w r. 1815 w Londynie. Prace jego, drukowane w *Revue de deux mondes*, wyszły w osobnych zbiorach: *Etudes critiques et biographiques*, *Nouvelles études* itd.

— Ludwik Niemojowski, w Warszawie. Autor gawęd i nowel wierszem i prozą. Dużo pisał dla dzieci.

— Celina z Wołowskich Gładkowska w Warszawie. Pisywała nowele i powieści pod pseudonimem Juliana Morosza.

— Jan Prusinowski w Żytomierzu; poeta, korespondent wielu pism warszawskich.

— Ch. F. Mauer, pedagog, w Landau.

— H. Mosler, malarz w Düsseldorfie.

— Ks. Filangieri, założyciel znakomitego muzeum neapolitańskiego.

— Alfons Czajkowski, poseł do Rady Państwa w Wiedniu.

— W. Siemens, znany elektrotechnik, współwłaściciel firmy berlińskiej.

— A. Szenszyn, znany poeta ruski, piszący pod pseudonimem Feta.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. P. Apollina.

Pani Maryi T. Czyż to jest możliwem w krótkiej odpowiedzi redakcyjnej wskazać „źródła do poznania nauk społecznych"? Musi Pani odbyć naradę ustną ze specyalistą.

OGŁOSZENIA.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 11 Декабря 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Święcicki